



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

KOBIETA W SAMORZĄDZIE.



Wobec zamierzonego wprowadzenia samorządu ziemskiego i miejskiego w kraju naszym, zachodzi pytanie, jaka rola przypadnie po tem przekształceniu ustroju społecznego w udziale kobietom? Czy uzyskają one, i jakie mianowicie prawa,—czy zostaną dopuszczone do głosowania, czy będzie im przysługiwało prawo wybieralności?

Wszystko to są pytania, nasuwające się obecnie ogromnej większości kobiet polskich, uświadomionych już co do swych potrzeb, zadań i celów.

Niewątpliwie wyłączenie kobiet od udziału w samorządzie — uważałyby należało za niesłuszne. W pewnym zakresie na tem polu oddałyby mogły nie małe usługi społeczeństwu.

Jeżeli przy organizacji samorządu kobiety zostaną zupełnie pominięte i pozbawione praw w opracowanej ordynacji wyborczej,— wtedy cięższej już będzie później walczyć o zmianę odnośnych przepisów. O ile bowiem słusznym być może wyłączenie od głosowania analfabetów i ustanowienie zasady, że koniecznym jest do nabycia tego prawa posiadanie umiejętności czytania i pisanja, jak w swoim czasie postanowił margrabia Alexander Wielopolski,— to znowu wyłączenie całego ogromnego odłamu inteligentnego, jakim jest przecież większość kobiet naszych, od wszelkiego udziału w gospodarstwie społecznym kraju nie da się usprawiedliwić żadnymi poważnymi motywami.

Sięgnijmy w przeszłość.

W czasach zamierzchłej przeszłości częsta i długa nieobecność mężów, przebywających na wojnach, sejmach i dworach, do zajęć gospodarstwa domowego dodawała praprabab-

kom naszym zarząd gospodarstwem rolnem, sprawowanie rządów nad poddanymi i prowadzenie procesów licznych a przewlekłych.

Im rodzina zamożniejszą była, tem gospodynie mniej pracowały ręcznie, a więcej administracyjnie, rządóm ich zawdzięczały często miasta i grody pomysły swój rozwój. Potrafiły one bowiem rządzić sprężyscie, sądzić sprawiedliwie i dbały o zakładanie lub utrzymywanie kościołów, klasztorów, oraz humanitarnych instytucji, jak szkoły, szpitale i t. p. Do miast takich należy np. Żółkiew w Galicyi, której akta stwierdzają dodatnie rezultaty zarządu, kolejno trzech pokoleń kobiet: Reginy Żółkiewskiej, Danielewiczowej i Teofili Sobieskiej.

W archiwum krakowskim znajduje się wiele aktów z XV-go wieku, świadczących, że kobiety wówczas stawały osobiście przed sądami w obronie interesów własnego majątku, albo też jako zastępczynie mężów we wszystkich kwestjach prawnych. Szczególnie rozgłos pozyskała Zofia Chodkiewiczowa.

Historja Lwowa dostarcza wiele przykładów kobiet, które dzięki usilnej pracy, zdolnościom, lub posiadanemu wykształceniu znaczne gromadziły majątki. Zimorowicz w swem dziele „Viri illustres” zaznacza, że np. Anna Łącka odbywała liczne podróże, utrzymywała stosunki handlowe z Anglikami, Włochami, Niemcami, rozpisywała listy bardzo rozumne na wszystkie strony świata, zestawiała doskonale rachunki i tak zwane „auszugi” kupieckie, ścigała żywo dłużników, a opędzała się sprytnie wierzycielom. Anna Wielopolska znowu w 1696-ym r. napisała dla wójta i ławników ustawę, według której mieli sędzić poddanych jej wsi dziedzicznej, Sucheju.

Najpowszedniejszym jednak zadaniem praprababek naszych było leczenie chorych i wogóle czyny miłosierdzia.

Ponieważ sprawy zdrowia publicznego bę-

dą odgrywały w projektowanym samorządzie niewątpliwie niepoślednią rolę, zarówno jak i sprawa oświaty, przeto na tem polu przyszłej pracy społecznej szczególnie współudział kobiet może wydać pożądane owoce.

Tradycja bowiem każe nam postarać się o nadanie kobiecie polskiej stosownych praw i zapewnić jej możność pracy na szerszem polu, jako obywatelki kraju.

W przeszłości naszej liczne odnajdujemy typy kobiet żywo zajętych sprawami ogólnemi, jak np. Grabianczyna na Podolu.— „Koncentrowała ona w domu swoim,— pisze dr. Antoni J. w „Niewiastach kresowych”— wszystkie sprawy województwa i na sejmikach, odbytych w Kamieńcu w r. 1782-gim przeprowadziła swoich kandydatów, a w roku 1786-ym w walce wyborczej otrzymała zwycięstwo tak świetne, że król zaczął się zalecać kobiecie, obsełał ją listami, na jej ręce przekazywał ordery dla zasłużonych obywateli i swojemu „delegatowi” podolskiemu polecił, aby się stawił z submisją u starościny. Z laty nabierała doświadczenia, a ten szal polityczny nie przeszkadzał jej zajmować się interesami własnymi, zajmować się przede wszystkim wychowaniem jedynej i ukochanej córki.”

Umiały więc,—jak widzimy,—prababki nasze godzić zajmowanie się sprawami ogółu z najświętszymi obowiązkami swymi, bo wypełnianie należyte obowiązków, wypływających ze stanowiska żony i matki, nie przestanie być nigdy,— zdaniem naszym,— najpierwszem zadaniem kobiety. Jedną z przodowniczek ruchu kobiecego u nas w szkicu swym do programu działalności kobiecej p. t.: „Nasze cele i drogi” zadania te opiera na zasadach następujących:

„Powrót do dawnej tradycji pracy kobiet we wszystkich sferach społecznych, sztuczność bowiem zajęć znacznej części zamożniejszych

kobiet u nas wywołuje nie tylko w szeregu ogniw życia naszego luki dotkliwe, lecz i głęboko sięgające rozkładowe następstwa.

„Powrót do zharmonizowania poglądów i dążności tak kobiet, jak mężczyzn do jednych ideałów i celów, jednymi drogami, aby w rodzinach rozwijać się mogło owo całkowite zrównanie, bez którego niema zupełnej wspólności i zupełnego szczęścia w małżeństwie.

„Powrót do hartownego wychowania matek-obywatelek, które same silnie fizycznie i moralnie, wychowując będą przyszłe pokolenia, nie na zdenerwowanych dekadentów, szamoczących się w ciasnym kole egoistycznego szczęścia swego „ja,“ ale na ludzi, którzy w szerokim pojmowaniu i ukochaniu swych idei przewodnich, znajdują regulator swoich czynów i szczęście wyższe, niż to, jakie im dać mogą osobiste zadowolenie. Jeśli zaś chcemy mieć matki-obywatelki, musimy dać możliwość kobiecie być tą obywatelką przez spełnianie czynności obywatelskich tak, jak to czyniły ongi nasze prababki.

„Wreszcie dążenia do rozwoju zasady wygłoszonej jeszcze przez Górnickiego, iż „kobiety potrzebne są nie tylko ku naszej na świat bytności, ale ku dobremu i zbożnemu życiu;“ wpływ kobiety bowiem, jako czynnika altruistycznego w ludzkości jest wpływem podnoszącym wartość i siłę społeczeństw.“

Pomyślność narodu leży w znacznej mierze w rękach kobiet. Kobieta ma możliwość wpływania na działalność mężów i braci, — a co ważniejsze, — urabianie przekonań i poglądów przyszłych pokoleń. Taką więc będzie przyszłość nasza, jaką ją zechcą mieć dzisiejsze kobiety polskie.

Czy pojmują one całą doniosłość swego zadania, czy ich wątłe barki sprostają trudnym obowiązkom?

Uświadamianie kobiety co do jej potrzeb i celów życia, jest zadaniem właśnie ruchu kobiecego, który się u nas nie od dziś datuje.

Szereg instytucji w kraju naszym z mniejszym lub większym powodzeniem pracuje nad przygotowaniem kobiet polskich do należytego spełniania swych zadań; do najczynniejszych należą: Koło pracy kobiet przy warszawskim oddziale Tow. popierania ros. przem. i handlu i Warszawskie Tow. Hygieniczne, posiadające swe oddziały na prowincyi.

W tem ostatniem Towarzystwie na jednym z posiedzeń wydziału higieny ludowej podczas obrad nad sprawą samorządu kilku mówców zaznaczyło konieczność udziału kobiet w samorządzie. Zagranica wykazuje nam dowodnie, że na wielu posterunkach społecznych kobiety przynoszą ogromne korzyści, przyczyniając się do podniesienia poziomu etycznego i umoralnienia szerokich mas ludności. W Niemczech np. dopuszczenie kobiet do stanowiska inspektorek fabrycznych jak najlepsze wydało rezultaty; oczywiście lepiej i skuteczniej potrafią one odezuwać niedolę robotnic fabrycznych i zapobiegać jej odpowiednio. A nad temi pracownicami należy szczególniejszą roztoczyć opiekę, — gdyż one, uświadomione należycie co do swych zadań, wpływałyby dodatnio na swych mężów i braci, nakłaniając ich do rozważnej pracy, która jedynie zapewnić może ogółowi pomyślność, a odwodząc od wszelkich bezcelowych porywów.

Byłoby może nawet pożądanem utworzenie specjalnego Towarzystwa Opieki nad pracownicami fabrycznymi, oraz żonami robotników, któreby mogło oddać poważne usługi społeczeństwu.

Rzucamy tę myśl w nadziei, że może znalazłoby się grono pań, któreby zechciały się nią zająć i w czyn ją zamienić.

Wyrwałyby one niejedną z otchłani zepsucia, niejedną skierowały na właściwą drogę.

Pola do pracy nigdy nie zabraknie. Wiele, bardzo wiele pozostaje jeszcze do zdziałania, wiele potrzeb domaga się zaspokojenia, a wśród nich nie mało należałoby oddać w ręce kobietom.

Gdyby nie uzyskały nawet na razie czynnego udziału w przyszłym ustroju samorządnym kraju, to i tak jeszcze miałyby przed sobą otwartych wiele dziedzin pracy społecznej.

Nie wolno im również zapominać, że najważniejsze zadanie, przygotowywania do życia przyszłych pokoleń — w ich leży ręku i od nich przeto jest zawisłem, aby gmach pomyślności powszechnej był zbudowany na trwałych podstawach.

Leon Reinschmidt.



Z wiejskich wrażeń.



Doprawdy, możnaby pomyśleć, że społeczeństwo nasze jest najzdrowszem, najbogatszem i najweselszem na całym świecie.

Najzdrowszem, — bo może tyle sił żywotnych bezużytecznie w obecnej dobie marnować, najbogatszem, — bo nieopatrnie trwoni po świecie tyle zasobów i pieniędzy; najweselszem, — bo nądewszystko miłuje... zabawę. Zdaćby się mogło, że niema wśród nas jednostek chorych, zboliałych, nieszczęśliwych i cierpiących, że klęski żywiołowe, jak powódź i pożary, susza i nieurodzaje, to jeno wymysły wiecznie niezadowolonych gospodarzy, a naturalne ich następstwa — głód i nędza ludzi pracujących, istnieją jedynie na szpaltach dzienników, jako temat do gorących feljetonów dla literatów i dziennikarzy.

Tysiące ludzi bez zarobku! Cóż to znaczy, skoro my nasz codzienny obiad mieć będziemy! Głód mas pracujących, skazanych od urodzenia na nędzę i borykanie się z losem, nam podczas letnich wyczasów wydają się tak obojętne, jak przebrzmiałe obrazki z klęski głodowej w Indyach, a bardziej odległe, niż tocząca się wojna na Wschodzie. Z przyzwyczajenia biorąc do ręki „Kurryera,“ machinalnie błędzicie wzrokiem po poszczególnych na-

główkach: nieurodzaje, susza, pożary, pomoc głodnym, wyszukiwanie pracy itd., nie wnikać głębiej w ich treść. Któżby tam przy takiej pogodzie smażył sobie mózg nad tem, jak zatrudnić Maćka lub Antka, aby mógł napelnić pusty żołądek, lub biedzić się nad rozwiązaniem zagadnień nierozwiązalnych; stokroć lepiej, a nądewszystko wygodniej z początkiem lata myśleć o własnym wyjeździe, nagromadzeniu odpowiednich toalet i suszyć mężowi mózg o potrzebną gotówkę, aby mógł wyruszyć nad morze, w góry, lub choćby w ostatecznym razie na wieś. Tam w hamaku, wśród sosen zawieszonym, leżysz beczynie czytelniczko, lub co najwyżej w rączkach twoich złoci się jaskrawo-żółta okładka francuzkiego romansu. Nie byłabyś inaczej Warszawianką!

„Kurryer“ na wsi dochodzi cię na trzeci dzień zaledwie lub raz w tygodniu, kiedy ci go w sobotę mężulek przywiezie; wiadomości już są przebrzmiałe, — nie nęcą. Rzucasz okiem najpierw na rubrykę teatralną, pobieżnie przerzucasz wiadomości wojenne, bieżące, czasem spojrzysz na nekrologi, czy nie wyczytasz w nich znajomego nazwiska... i zapadasz ponownie w swój hamak, kołysana przyjemnie, leniwie, miarowym ruchem sosen po nad głową. Inne rubryki w „Kurryerze“ w lecie nie mogą liczyć na dłuższe zajęcie twej uwagi. Cóż bowiem znaczą te magiczne wyrazy:

głód, nędza, brak pracy, gdy przed tobą roztacza się szafirowo-migotliwa toń morza lub gdy śnieżne wierzchołki gór pałają w poświacie zachodu.

Ale, co mówię!... Alboż patrzysz pani na to niebo bez chmurki nad tobą rozpostarte, przeźrocze, alboż podziwiasz uroki oświetlenia gór, alboż stapiasz się z wód bezmiarom i poisz oczy zielonością, a duszę harmonią napawasz? Gdzie zaś! Czy to wody, czy „bady“ zagraniczne, doliny, czy wyniosłości ziemskie, obce, czy swojskie uroki, a choćby tylko skromna wieś nasza, wszędzie, wszędzie zetkniesz się z jednym i tym samym objawem.

Jakim?... Ludzie się bawią, bawią, bawią; chcą się bawić, usychają bez zabawy.

Wtedy nie są ani smutni, ani chorzy, ani biedni. Zapominają, co ich tu przywiodło; zatracają główny cel z przed oczu, jakim jest przedewszystkiem wypoczynek i nagromadzenie zapasu sił i zdrowia na zimę. Kto tylko się „szanuje“ wyjechać musi; w miastach zostają ci tylko, którzy za innymi podążać nie mogą. Sam wyjazd, oderwanie się od codziennych warunków egzystencji, jest już poniekąd życiową rozrywką, ale my go za taki nie uważamy, jeno za fakt naturalny, przynależny, obowiązujący. Gdzie te czasy, gdy wyjeżdżali z miasta tylko uprzywilejowani wybrańcy Fortuny; dzisiaj każdy stróż, konduktor, sklepikarz, uważa sobie za „punkt

Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1--12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

I oto dowiedział się, że panicz zabawił się i że wszystko, wszystko, całe życie na marne poszło, wszystko, całe życie było na próżno przemęczone, przebyte, przeżyte. On sam przyniósł do domu list i cenę miłości duszy i ciała dziewczyny, dwadzieścia pięć rubli. Więcej nie nie wzięła, tylko ten pierścionek, który uważała za świętą obrączkę i za to dała życie.

Reszta wiadoma. Gedras wziął kamień i ohydnie, po zwierzęcemu zamordował człowieka, który ostatecznie nic mu nie zawinił, — jak twierdzi pan prokurator. Zamordował człowieka znanego i porządnego, którego całą winą był młodzieńczy szal i lekkomyślność. Naturalną jest rzeczą, że ofiara mordu wzbudza sympatyę, a zabity otoczony bywa aureolą męczeństwa, ale gdy pan prokurator napiętnował z taką potęgą mordercę, dla kontrastu, a zarazem dla całości tej sprawy, ja zbadałem przeszłość ofiary, i choć ogólnie znany, młodzieniec ten ma też w swoim życiu charakterystyczne epizody, wyjaśniające niejako tragiczny epilog.

Jak świadczy metryka, pan Leon Morzyński urodził się w Odessie i miał w chwili śmierci trzydzieści pięć lat. Nie wyglądał na to, ani z twarzy i postaci, ani z czynów,

które sam pan prokurator nazwał młodzieńczą lekkomyślnością i szalem. Zakonserwowało to jego porywy i świeżość życia ze wszechmiar wygodne, swobodne i pomyślne. Był synem jedynym wysokiego dygnitarza bankowego. Pan dyrektor brał grube pieniądze, dywidendy, szczęśliwie przytem grał na giełdzie.

Matka była od ojca o wiele młodsza, bardzo piękna, lubiąca żyć i bawić się. Z krwi ojca wziął spryt do spekulacji i giętkość aferyzisty, z krwi matki upodobanie użycia i zabawy, z obyczajów domu i ludzi, którzy tam bywali, upodobanie zbytku. Skończył cztery klasy gimnazjum w ośmnastym roku życia i odtąd stał się tem, czem był do końca: eleganckim panem, umiejącym bawić się, wydawać pieniądze, zdobywać kobiety, przyjaciół i stosunki, lubionym i kochanym przez wszystkich. Można śmiało rzec, że był to w tych rozlicznych fachach światowca genialny człowiek i ulubieniec losu.

Kronika erotyczno-skandaliczna Odessy zapisała go wielokrotnie na swych kartach i posiadam tu pod ręką parę dokumentów policyjnych, zbyt drażliwej natury, abym je mógł publicznie odczytać, wystarczy, gdy powiem, że pan Morzyński bawił się, jak człowiek, który ma dużo pieniędzy, dużo wolnego czasu i pomysłowości do użycia swych sił, młodości i zdrowia, i życia sytego, i przesyczonego dobrobytem i wygodami.

Trwało to bez zmiany i troski lat dziesięć. Wtedy nastąpiły w Odessie jednocześnie dwa bankructwa i skandale. Stary Morzyński zmarł nagle na apopleksję, okazało się, że stracił na giełdzie wszystko swoje i dużo bankowych pieniędzy. Z dnia na dzień żona

i syn zostali nędzarzami, ale też z dnia na dzień, w godzinę po pogrzebie syn zniknął. Zniknęła jednocześnie piękna Rumunka, żona bankiera, milionowa kobieta. Matka Morzyńskiego pozostała sama w nędzy ostatecznej. Wierzyiele zabrali wszystko, nawet dach nad głową, nawet suknie. Syn już nigdy tam nie wrócił, ani się o nią zatroszczył, przyjaciele opuścili, bo była już stara i brzydka, i żyje dotąd i widziałem ją, nawpół obłąkaną uliczną żebraczkę, lokatorkę nocnych przytułków!

Pan Ludwik Morzyński spędził po śmierci ojca lat cztery za granicą, jako baron Barzescu. Przyjął panięskie nazwisko pięknej bankierowej, bardzo logicznie, gdyż nie był jej mężem, ani kochankiem, ale był na jej utrzymaniu. Żyli długi czas w Paryżu, potem w Nicei, ostatecznie w Neapolu, i tam, podczas przejażdżki łódką, piękna pani utonęła. Rybak i Morzyński uratowali się, ona zginęła. Po tym tragicznym i tajemniczym wypadku, Morzyński zniknął na czas jakiś, i dopiero wynurzył się po roku w Ems, gdzie spędzała sezon pani Gelich, cioteczna siostra jego ojca. Z Ems wrócili do Warszawy już we dwoje, i odtąd życie pana Morzyńskiego było na oczach całego świata.

W chwili śmierci stał u szczytu pomysłowości i powodzenia, jedyny krewny i domniemany dziedzic fortuny pani Gelich, narzeczony pięknej, młodej panny z najlepszego towarzystwa, członek wielu klubów, mistrz sportów, ulubieniec salonów.

Miał wszystkie dane długich lat życia i użycia, stałby się może społecznym działaczem i filarem wielu filantropijnych instytucji, założyłby rodzinę, wychowałby młode pokolenie, skończyłby, jako szanowny prezes i wybitny

honoru,“ aby „swoją“ wysłać na letnie mieszkanie. Byłoby to najzupełniej racjonalnem i usprawiedliwionem, gdybyśmy ciągle mieli na uwadze cel główny, t. j. zdrowie i wypoczynek. Tymczasem każdy pensjonat, każde sanatorium jest o tyle uznania godnem w naszych oczach, o ile uprawia... zabawę. Już do najściślejszą klauzurą obwarowanych zakładów wtargnęły z wiedzą i pełnomocnictwem naszych lekarzy, takie potwory, jak bale, „reuniony,“ „tańczące podwieczorki“ i inne zbiorowe rozrywki. Trzeba być chyba w agonii, kaleką, kulawym, lub zdeklarowanym mizantropem, aby się gwałtem wyłączać z tak „sympatycznego towarzystwa“ robawionych kuracuszów. Choćbyś miał żalobę w sercu, musisz nosić, jak etykietę uśmiechu na twarzy i jeśli cię gwałtownie nie bolą zęby lub głowa, musisz należeć do ogólnej wesołości i udawać, że podzielasz ją z zachwytem, a wszystko i wszystkich znajdujesz czarującymi. Inaczej, biada ci! Czterdzieści par oczu przeszywa cię na wylot zjadliwym, ironicznym lub politowania pełnem spojrzeniem, a czterdzieści (na szczęście nie par) języków rozpoczyna szermierkę zaoczną lub jawną, w której „poza,“ „mizantropia,“ „fałsz,“ a nierzadko i inne przestępstwa są ci zarzucane. Innych powodów zgromadzenia nie może uznać i nie pojmuje zupełnie.

— „Pozwólcie każdemu być szczęśliwym na swój godziwy sposób,“ powiedział kiedyś jeden z głębokich naszych pisarzy, ale myśl ta, jak wiele innych, przebrzmiała, jak pusty frazes.

O, zbiorowisko ludzkie jest poprostu tyrańskie!... Nie wolno ci się wyłączać, nie wolno być innym, jakim jest twe otoczenie, jakim jest ogół zgromadzony.

— „Gdyby choć jedna pierś była skrojona nie na miarę krawca, lecz Fidyasza!“

Biedny wieszczu, jakże mi cię żal... Co musiałoś czuć ty i tobie podobne duchy wielkie, przesławne, potężne, gdy zmuszeni byliście stykać się z ludźmi, zadającymi wam pytanie: „Pan nie tańczy?... pan pozuje na sensata, a młodość jest od tego...“

O, tak! Młodość jest od tego, aby przy kilkunastu stopniowym upale, obracać panienki w sali kasyna w takt walca lub polki „drzączki,“ aby się pocić w zapiętych mundurach i łykać kurz desek źle oheblowanych. Zaiste, wzniosły cel młodości! I mamy stają się wówczas rówieśnikami swych cór i z wdziękiem krygując swą postać, każą się wykręcać młodzieńcom z 4-go kursu przez noc całą. Na to się przecież przyjeżdża do Zakopanego, aby przywiózłszy całą furę toalet, tańczyć w każdą sobotę na „reunionie“ w „kasynie.“ (cudownie polskie nazwy!); na to się jedzie do Zoppot, aby w kolonii polskiej „w dobranem kółeczku znajomych,“ tańczyć do upa-

dłego na wieczorkach w sali hotelowej; na to się jedzie do Rabki, aby... i t. d. do Szczawnicy, Krynicy, a nawet Nałęczowa, Ciechoćka, Buska, bo i nasze „uzdrowiska“ krajowe nie zostały pod tym względem zacofane i urządzają muzykalno-taneczne zebrania. Gdybyż chociaż tą plagą dotknięte były miejscowości lecznicze; zgoda, niechby tam ludziska za wydany grosz użyli aż do ostatniego, ale ta sama nowość przenika obecnie do pensjonatów obywatelskich, do letnich mieszkań w modnych miejscowościach zamiejskich, a nawet do wsi. My dziś nie mamy szczerzej wsi zupełnie, a że jej nie mamy, winniśmy temu sami. Psujemy lud, psujemy naturę, psujemy nasz własny wypoczynek dobrowolnie.

Każde letnisko, pozbawione „atrakcji“ (czytaj: przynęty) w postaci tańców we wspólnym salonie, wspólnych wycieczek wozem, łódką, pieszo, uważanem jest za zabójczo nudne. Taka energia w nas wstąpiła do zabawy! Za mało mamy karnawału „zimowego“ pod sztandarem filantropii, za mało wyścigów w porze wiosennej i karnawału „zielonego“ w postaci majówek z tańcami i tańców bez majówek, za mało wyjazdu na szereg miesięcy letnich za mało jesiennego sezonu wyścigów i wszelkich rozkoszy po powrocie i znów w perspektywie karnawału „zimowego;“ wszystkiego tego za mało dla zaspokojenia naszej żądzy zabawy. Zaiste, wesołe społeczeństwo! „Cho-

członek narodu, gdyby nie zezwierzęcały zbrodniarz, wyrodek, zwyrodniały wyrzutek, który zamordował go okrutnie — i za co? za jaką dziewczynę. Jakby dziewczyny tej klasy były czegoś więcej warte, jak uwiedzenia przez zdrowych, sytych, wesołych paniczków!

Pan Morzyński, jak zresztą wszyscy młodzi ludzie, uprawiają przecie ten sport od wczesnych lat życia; to jest przyjęte, uznane, z tem się wszyscy pogodzili oddawna. To stanowi ich przywilej, zwyczaj, chlubę i sławę. Dziwolągami i pośmiewiskami byłby młodzieniec bez tych tryumfów i zdobyczy. Trzeba istotnie być wyrodkiem, jakim był Gedras, żeby przeciw temu protestować i żądać za zabawę i żart pospolity, czegoś więcej, niż dwudziestu pięciu rubli.

To dowodzi i ograniczenia jego, i dzikości mściwych instynktów, i niezajomości prawa. Tak, — bo żadne prawo nie pozwala kamienować uwodziciela, — a on to uczynił.

Kamienować wolno było literalnie niegdyś kobiety, dotychczas wolno to z niemi czynić w przenośni — i chyba ten kamień, który tu mamy przed sobą, pierwszy jest i jedyny, który spadł na mężczyznę za ten czyn. Tych dwoje ludzi, tak dalekich, tak różnych, postawiła jednakże naprzeciw siebie, do walki śmiertelnej jedna, wielka potęga — miłość.

Morzyński kochał Mańkę, więc jej pożądał i zdobył, tak kochają wszyscy możni i mężczyźni. Gedras kochał Mańkę, więc ją hodował, strzegł i pomścił, tak kochają matki i biedacy słabi. Życie ich obu było fatalną drogą — do takiego, a nie innego wiodącą rozwiązania, szło zaś zwykłą przeciętną koleją, tylko złe fatum Morzyńskiego było, że trafił wreszcie na wyrodka. Boć przecie w swej

karyerze miłosnej miał wiele szwaczek, robotnic, subrotek, pokojówek, a nie doświadczył nigdy protestu, opieki lub pomsty. Obyczaj i gusta „panów“ wyrobiły przecie w sferze „chamów“ bierne poddanie losowi, wyrobiło nawet w tym kierunku zmysł spekulacyjny. Dziewczyny szukają w tem zadowolenia gustu do zbytku i próżnowania, rodzice i opiekunowie sprzedają ten towar żywy dla swej wygody — wszyscy się z tem pogodzili i dobrze jest na tym najlepszym ze światów, dobrze, i cicho, i porządnie.

Nie dziw, że czyn Gedrasa wznieca oburzenie, wstręt i zgrozę, że ten kamień — jest straszny.

Zgroza! Strach, osłupienie ogarnia na myśl co być może, co stać się może, jeśli taki zbrodniarz nie będzie ukarany najcięższym paragrafem, jeśli nie zdusi się takiej zarazy w zarodku. Mam w oczach przerażający obraz: widzę tłumy, massy ludzi, tych szarych ludzi z dna społecznego; powstają, prostują się, rozprężają zgięte w pracy i niewoli ramiona, a potem się schylają, każdy bierze taki kamień z bruku i ruszają w pochód — jakby z letargu zbudzeni: ojcowie, bracia, często mężowie takich kobiet, które życie spędziły w zabawie tych — co płacą, życie w niewoli tych — co kupczą, a kończą w gangrenie ciała i ducha — w kloace lub szpitalu. Biada, jeśli taki dzień przyjdzie, jeśli taki tłum powstanie, biada zwyczajom i obyczajom, nawyknieniom, zabawom; biada wszystkim takim Morzyńskim!

Dotąd, szczęściem dla nich, taki Gedras jest wyjątkiem, podobni jemu — nie myślą, nie czują, nie wstydzą się, ani cierpią, są podli, są głupi, są bydlęm — i oby zostali tem jak najdłużej, bo po ich piwnicach i stry-

chach rozkwitają kwiaty dla wygody i rozrywki panów, a oni je mogą sprzedawać drogo, po dwadzieścia pięć rubli jeden. A potem mogą je jeszcze wysłać na ulicę, sprzedać do zakładów reglementowanych w kraju lub na export, no — a potem hodować drugi i trzeci, to się opłaci, znajdzie się kupiec na każdą, byle nie miała duszy, byle nie była głupia, nie trula się, ani topiła.

Tak, szczęściem, Gedras jest wyrodkiem i usunięty zostanie z pośród ludzi zdrowych i normalnych, ukarany wedle wielkości zbrodni, a jego kamień pozostanie w archiwach kryminalnych, jako bezprzykładne narzędzie dzikiego mordu nad człowiekiem ogólnie poważanym, który mu w niczem nie zawinił. Równie pocieszającym jest, że i Mańka zginęła bez śladu, istota bez nazwiska, zhańbiona i zarażona zapewne buntowniczymi poglądami opiekuna. Mogłaby też mścić się i protestować. Usunęła się, nie pozna mocy prawa, opieki społecznej i nieubłaganego poszanowania cnoty, która takie, jak ona skazuje dotąd na ukamienowanie.

Kiedys — podobna jej — znalazła się na sądzie, ale to daleko ztąd było — w Judei, i stała przed sędzią, który zabronił jej kamienować, ale to dawno było i sędzia był Bogiem, Miłością! Odtąd nie powtórzyło się to już na świecie, a kamienie trwają — stały się symbolem cnoty, gdy spadają na głowę jawnogrzeszniczy, występku, gdy miażdżą uwodziciela.

Gedras jest winien, wyznał — nie spodziewa się, ani chce usprawiedliwienia. Korzy się i on, i ja przed potęgą prawa. *Pereat mundus, fiat justitia!*

ciaż bieda, ale hoc!“ Jeszcze i lato, i wieś niegdyś spokojną zatruć musiały wyziewy zabawy wielkomiejskiej. Kto pragnie ciszy i wypoczynku, łudzi się, że je znajdzie. Dziś partya tenisa, jutro krokiet, pojutrze wyścigi piesze, a na wety każdego wieczora... tańce.

Zresztą, kto dziś oprócz nudnych, zmęczonych professorów i ludzi oddanych badaniom wiedzy ściślejszej pożąda spokoju, wypoczynku, a nadewszystko samotności? Kto umie ją zachować i z niej korzystać? Kto potrafi się skupiać i w odosobnieniu pracować nad rozprzeźnieniem ducha własnego?

W każdym „letnisku“ najpierw powstaje „kasino“ czyli sala lub weranda do wspólnych zebrań, później... kaplica z datków gości miejscowych. A zapomniałam wspomnieć o teatrach amatorskich, monologach, koncertach, złożonych z sił amatorskich, loteryach na cele dobroczynne i t. p. uprzyjemnieniach letniego pobytu. Gdzie się podzieli ludzie naprawdę chorzy, smutni, zbolali? Gdzie ci, którzy potrzebują wypoczynku dla ciała, a stokrót ważniejszej równowagi ducha, gdzie leczą się rany, zadawane duszy naszej codziennie, co godzina, w deptaku monotonnego życia? Ale kto o tem mówi, lub pamięta?! Odrzućmy się Krezusami, mającymi szeroko otwarte kieszenie i siły do forsownej eksploatacji. Uchylić się przed nią nie możesz z grona

„sympatycznych“, bo taki jest *obowiązek społeczny*. Dziwne! ta młodzież, która w lecie tak nieopatrznie marnuje siły, potrzebuje ich dużo do pracy i nauki w zimie, a te panny, które się „bawią w lecie“, będą się jeszcze bardziej w zimie bawiły.

Powie mi ktoś: sensatka, moralistka, dziwaczka, bo sama uciech życia nie kosztuje i gani niewinną rozrywkę, należną młodości. *Cóż oni będą robili na wsi lepszego?* O to właśnie chodzi: Co oni będą robili?

Ludzie się nudzą; nudzą się w samotności, nudzą się w skupieniu i dlatego są tak żądni rozrywki. Panowie siadają do winta, starsze pannie, które już nie tańczą, zaczną po raz setny nicować przybyłych i zgromadzonych, a młodzież... puści się w płasy. Czyście się naprawdę nie zastanawiali nad tem poważnie, jaka jest jałowość takich zebrań i przepędzania czasu, jakie to czeze i płytkie? O czem się tam mówi, co się z nich wynosi? Czy może tam zakwitnąć myśl poważniejsza, wzbudzić się prawdziwe zainteresowanie dla wiedzy, dla godnej sprawy i czynu?

— „Ilekcroć poszedłem między ludzi, mniejszym wracałem człowiekiem“ — wyrzekł Seneka. Czy takim winno być zgromadzenie ludzi? To młode grono, jakie na wstępie do każdego letniska otacza nowego przybysza, zasypuje go tysiącem naraz pytań i propozycji, robi doprawdy wrażenie, jakby się skła-

dało z istot, które wcale nie myślą, lub przynajmniej nie myślą o niczem wytrwalej, jak o zabawie.

— „Tak nam tu wesoło, tak gwarno, tak przyjemnie!“ — oto zwrotka piosenki, powtarzanej w każdej letniej miejscowości. A przecie są tam zebrani ludzie, którzy się zdobywają na wysiłki, aby pokryć wyjazd, ludzie, którzy w zwykłym życiu mają swoje troski i kłopoty, braki, których niejednokrotnie jątrzy ból ukryty i dojmujący, lub jaki rozdzwięk duchowy dzieli — i ci ludzie z taką łatwością, co więcej, z takim zamiłowaniem, biorą na siebie rolę — Ników (nie Słowackiego). Czemu? Czemu nie korzystają z uroków lata, przestrzeni, natury, czemu nie idą napawać się wonią skoszonego żyta, szerokim oddechem pól, słodyczą łąki i upajającą żywicą lasu, nie wsłuchują się w śpiew szarego skowronka i strzykanie owadów, nie rozprostują zgiętych pleców, nie podnoszą pochylonej głowy i nie poszła wzroku, aż hen, ku obłokom na niebieskiem przestworzu.

W ciszy wieczornej duch prostuje zmięte skrzydła i powraca do równowagi; gwiazdy zapalają się zwolna na zbladłym horyzoncie... W tej ciszy całą istotą owłada słodkie, kojące rozmodlenie... *Sursum corda!*

G. Toporcanka.



Stuch skończył, i w sali zapanowała chwilowa cisza. On powiódł oczyma gorejącymi po tłumie publiczności, i zdało się wielu, że na nich szczególnie patrzy, i snąć nie miły był im ten wzrok, bo odwracali głowy, starali się być swobodni, zaczęli ciche rozmowy. Wśród świadków siedzący obadwaj Zarębowie patrzali uparcie pod stopy, sędziowie nie spali, mieli głowy pochylone nad papierami. Stuch usiadł, przelotnie spojrzawszy na Gedrasa. Ten jeden odczuł odmienną mowę. Wyprostował się, głowę podniósł, twarz miał spokojną, jakąś skupioną i mocną.

Poczuł Stuch, że już teraz ten człowiek płakać nie będzie, i że mu jest wdzięczny.

A w tłumie dojrzał też łez pełne oczy siostry i samo milczenie tego tłumu było niezbitym znakiem, że dobrze mówił, choć go nikt nie pochwali, choć za chwilę skrytykują bardzo ostro.

Sąd oddalił się na naradę. Po długiej pauzie odczytano wyrok. Gedras skazany został na dziesięć lat ciężkich robót.

Publiczność znowu patrzyła na podsądnego i obrońcę, spodziewając się jeszcze jakichś wrażeń, ale żaden z nich nie drgnął nawet. Gedras się skłonił w milczeniu i wyszedł wśród swej eskorty, Stuch zebrał papiery i otoczony wnet przez kolegów zniknął.

Tedy i publiczność rzuciła się do wyjścia, zahuczał gwar, rozmowy, jak po teatrze.

Sztuka nie podobała się ogólnie — o wcale nie. Ogólne było zdanie, że wszystko, a szczególnie obrona, była z gruntu niemoralna, gorsząca.

— No—i nic nie wskórał! — tryumfowano.

Stuch nazajutrz odwiedził Gedrasa w więzieniu!... Spytał go przedewszystkiem, czy chce apelować?

— A po co, panie, do kogo? — odparł mu spokojnie.— Ja taki rad, że już mnie męczyć nie będą, że już na prawdę wszystko skończone. Powiadają, że katorżniki straszne ludzie, ale co mi wezmą, co mi zrobią? Zabiją — to co? To nic złego. A Mańki to już niema na świecie, bo zgłosiłaby się tu do mnie. Niema! Nikomum już niepotrzebny, i długo nie potrwmam. Pójdę, pójdę, i ciągle słyszeć będę co pan mówił, ciągle sobie powtarzać.

— No, nie wiele wam pomogłem! — rzekł cicho Stuch.

— Cicho się we mnie zrobiło. Tak cicho! — szepnął Gedras. — Nie zapomnę do końca. Dziękuję panu.

— Może macie jaką chęć, jaką sprawę tu do załatwienia? Przyniosłem wam trochę pieniędzy, szmat. Załatwię, co zechcecie...

— Pieniądze mi odbiorą, szmaty odbiorą. Szkoda, panie. Mnie nic nie trzeba. Tylko jeśli Mańka nie umarła, a dowie się pan co o niej, to proszę jej dać opiekę i mnie słowo przesłać. Może otrzymam list, a może tego już nie wolno! Ale chyba nie może być, by jeszcze żyła?

Patrzył niespokojnie na Stucha.

— Chyba nie... — ten odparł.

Gedras zwiesił głowę.

— Tamte dwie pochowałem, a tej nie ucho- wałem... — zamruczał. — Tak i życie zeszło!

Obaj umilkli, patrząc posepnie na szarą ścianę więzienną. Wreszcie Stuch się zerwał, dławilo go wzruszenie i gorycz.

Bez słowa się pożegnali, nie było co rzec na takie rozstanie ostateczne.

Ten, co został w celi, był spokojniejszy od tego, który wracał do świata i swobody!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z ostatnich dźwięków.



„Niech się nie trwoży serce wasze. Wier-
zycie w Boga.“

Św. Jan XIV, 1.

Tak cicho brzmiała ma lutnia uboga,
A już gdzieś leży zamilkła w popiele,
Czasem zwątpienia potrąci nią trwoga,
I ton fałszywy dobędzie nieśmiele,
Czasem się jękiem poskarży u Boga,
Że sił tak mało w strunach... lecz w kościele
Duszy mej — płonie lampa kryształowa
I czysty promień swój na wieki chował...

I tylko jeden ten płomyk znikomy
Rozbija ciemność ponurego gmachu,
Pod luki sklepień i w kolumn załomy
Pełne kadzidel pogrzebnych zapachu,
Gdzie na organach huczą hymnów gromy,
Wstrząsając gmachem od węgla do dachu!
Ta jedna lampa rozbłyskuje blada,
Ta jedna lampa — lecz bez niej — o, biada!

Choć potrzaskane śnieżyste marmury,
Choć milczą dzwony, bo rdza spiż pojadła,
Choć tam, gdzie anioł białemi chwiał pióry,
Czarnemi skrzydły mroczna noc upadła,
Choć w cieniach nawy, krużganki i chóry,
I wszędzie pustka panuje wybladła,
Przed Krzyżem lampa niezgasła w kościele
Samotnej duszy... my — Krzyża czcicie!

O święta wiaro zamierzchłych stuleci
Jeszcze nie zbraknie dla ciebie przystani;
Choć dziś już z nieba Serafin nie zleci,
I płomienistym mieczem serc nie zrani,
Choć nie dla Magów, lecz twa gwiazda świeci,
Biednego świata pogardzona Pani.
Wiek albo chwila — dłoń twa opór złamie,
Na harde serca kładąc Krzyża znamię.

A serca będą, jako krzyże krwawe,
Na poświęcenia wzniesione Golgotę,
Cichą zaparcia umilują sławę,
W blaski zaziemskich sfer promiennie-złote
Wzniosą się oczy spokojne, choć łzawe;
Przeszłość — żal niemy i przyszłość — tęsknotę
Świętem ramieniem osłoni znak wiary —
I serca będą, jak krzyże ofiary!...

Kiedy pieśń moja tęsknie się zaslucha
W ową dalekich godzin przepowiednię,
Gdy się zapatrzy w to królestwo Ducha —
Gdzie miłość żyje, a nienawiść — blednie,
To choć ementarna cisza, choć noc głucha,
Choć codzien plyną bólu łzy powszednie,
Znów rwie się z duszy na struny nieśmiałe,
Dalekich godzin przepowiadać chwałę.

Któż mi da skrzydła, jako gołębiczy,
A chociaż słaby jestem — ach — polecę!...
Kto mi klucz odda wiecznej tajemnicy —
Kto mi da iskry! A płomień rozniecie,
Pójdę do duchów zakłętej skarbnicy,
Zwoływać braci na nadziei wiecie,

Kantyki wiary — miłości różańce...

Skrzydłem!... polecę na wszechświata krańce!

Któż mi da skrzydła — jeśli nie Ty, Paniel
Bym w przestrzeń leciał z ducha mego celi,
Któż mnie wywiedzie za zwątpień otchłanie?
Kto mi ciemności światłem rozweseli?
Komu i dla mnie zmiłowania stanie?
Do kogo wołam pokorniej a śmielej?
Czuję Cię w duchu!... Widzę Cię — tam — w górzel!...
Lecę!... choć pióro szarpia mi po piórzel!

Choć zdruzgotala czarę szczęścia burza,
Lecz drogocenne zostały okruchy;
Wszak nieraz spaja w półrozkwitła róża
Wonnem ogniwem boleści łańcuchy;
Chociaż się niebo nade mną zachmurza,
Ja sam nie jestem!... Gdzież wy, bratnie duchy!
Czasem — przestrzenią — grobem nierozdzielne,
Niezłomne w walce, w bólu nieśmiertelne!

O, żal mi ciebie, biedny, stary świecie,
Wielki tragiku w czapce arlekina,
Wszakżem ja twoja cząsteczka i dziecie,
Na twym zegarze bije ma godzina!
Śmiechem wybuchasz, chociaż cierń się plecie
Około skroni, chociaż grom nagina
Do ziemi głowę dumną i w proch ściele;
Konasz, wołając: „Klaszcie przyjaciele!...“

Żal mi was, ludzie, żal was, bracia moi,
Bo wszyscy skrytym zawodzimy płaczem,
Každy w zadumie na rozdrożu stoi,
Každy wędrowcem samotnym, tulaczem,
Wiosna go w wieniec barwnych marzeń stroi;
Szczęśliwy stokroć — gdy ma tęsknić za czem,
Gdy jesień spiewa mu na wspomnień lutni...
Przebacz nam skargę, Panie — bośmy smutni!

Szczęśliwy jeszcze ten, co iskry Bożą
Niezgasłym w piersi przechowuje Zniczem;
Szyderstwa, walki i łzy go nie trwożą,
Bo on prócz Boga — nieulekły — niczem,
Czeka, aż bóle u stóp się położą,
Spogląda na świat niezbladłym obliczem.
Z Boga — do ducha swego czerpie siłę,
Idąc spokojnie — w sierocą mogiłę,

Która o ludzkie łzy nie będzie prosić,
Ani pożądać ludzkiego wspomnienia,
Nad którą — krzyża czarnego — ach — dosyć,
Dosyć grobowej ciszy i milczenia,
Na którą duchy dobre będą nosić
Łzy rosy, wieńce złotego promienia,
Róże słoneczne, a śniegu lilije...

Co cierpi — skona, co kocha — ożyje!

Bożymir.



ŻONY MĘŻÓW PRACUJĄCYCH.



III.

„PANI.“

„Ludzi się mierzy tem, co oni robią, a nie
tem, co posiadają.“

Voltaire.

Na wieść o zaręczynach tej lub owej pan-
ny, zaraz, jak w kantorze wymiany pienię-
dzy zaczynają ludzie liczyć i oceniać:

— On ma pensyi rocznie tyle... ona ma posagu tyle... on ma przed sobą awans taki, ona ma klejnotów tyle... jego rodzina pracowała w ten sposób, jej pradziad miał taki a taki majątek.

W ślad zatem idą wyliczenia szczegółowe:

— Wyprawę będzie miała taką — meble ztąd, serwis ztamtąd, koronki, kilimy, obrazy, ztąd... mieszkanie o 3, — 4, — 6-ciu pokojach... Potem pójdą na ślub, skrytykują każdy szczegół toalety, oglądają gości weselnych i czekają, kiedy młoda „pani“ pocznie żyć, jako żona, gospodyni i „pani domu.“

Wszystko się zaś w nowym domu poczyną od tego, ażeby urządzenie mieszkania sprawiło efekt, aby oddającym wizyty wszystko wydało się bogate, zamożne i dostatnie.

Broń Boże, pomyśleć nawet, ażeby mieszkanko wynająć tańsze; cóżby ludzie powiedzieli, sądziliby, że nie stać na lepsze.

Broń Boże, ażeby zabrakło portier i dywanów w każdym pokoju, — sądzonoby, że nie mamy na to...

Broń Boże, ażeby salonu nie było... tożby nikt bywać nie chciał, pomiatanoby nami, jak jakimi szewcami...

Tak „pani młoda“ przedstawia mężowi konieczność estetyki mieszkania i ważność zastosowania się do „zwyczaju.“

A jakkolwiek urzędnikowi, pobierającemu nie zbyt obfitą pensję, rubryka pozerająca „mieszkanie“ zdaje się stanowczo „za wielką, musi uledeć, bo żonka zaraz umie dokuńczyć wcale nie słodkim głosem:

— Wzięłaś mię z mieszkania wygodne go ja nie mogę przywyknąć do oficyn lub trzeciego piętra.

Utrzymanie dużego mieszkania kosztuje nie mało; trzeba frotera, pokojówki, opała, ale „pani“ tego nie oblicza.

Po to szła za męża, ażeby była „panią,“ ażeby jej wszystkie koleżanki i przyjaciółki zazdrościły, ażeby zaznała wygod i przyjemności nie mało, ażeby wszystko tak było, jak ona pragnie...

Po pokojach pięknie umeblowanych snuje się, jak nimfa w pół mglista, postać „pani,“ w kuchni gospodarzy Kasia lub Marysia, zadowolona niezmiernie, że dostała się do takiej młodej „pani, bo u takich najlepiej służyć.

Tak się rozpoczyna snuć plecionka obowiązków żony i „pani“ domu, (broń Boże powiedzieć „gospodyni“).

Nic nie robić, niczem się nie utrudzić, starać się o piękne, jak alabaster, białe ręce, zadziwiać strojami pięknymi, pozować na osobę o wielekroć zamożniejszą, niż jest w istocie, oto przeciętny plan życia...

Jeszcze bardzo dobrze, gdy chociaż znajdzie się zamiłowanie jakieś artystyczne, czy to do muzyki, śpiewu, lub malarstwa, czy do jakichś robót ręcznych, lecz i w tem zwykle więcej pozowania, jak prawdziwego oddania się sztuce.

W ślad za tem wlecze się wstrętna poczwarą, mająca nazwę „nudy.“

Truje ona życie i często je plami szpetnie; szczęście wypłoszone znika na zawsze, a życie poczyną się wlec ponure, szare, smętne; bez promieni cnót, bez zasług i poświęceń aureoli...

Taka zwykła, codzienna, monotonna histo-

rya życia ludzi nad stan, walczących z długami, chcących udawać zawsze bogatszych, niż są, pozujących na lepszych, narzekających na wzajemne wady ludzkie.

A jeśli się miewa gości, to nie idzie głównie o to, ażeby wspólną myślą które z zadań społecznych uczynić sobie bliższem, ażeby zachęcić się wzajem do jakichś prac podjętych dla dobra bliźnich, lecz o to największe staranie, aby gościom okazać, co się ma w domu na zastawę stołową, na obiad lub herbatę, aby dostatek w domu widoczny był wszędzie i żeby nikt nie pomyślał, iż tu czegoś brak.

Mniejsza o to, czy ludzie spostrzegą brak czegoś w wiedzy lub duszy, byle nie ujrzeli, że czegoś brakuje w dostatku.

Wyda się na przyjęcie gości większą połowę tego, co miało być na cały miesiąc, weźmie się w sklepie na rachunek tyle, iż to przekroczy prawo budżetu domowego, są nawet takie wypadki, gdzie się i pożyczkę na procent zaciągnie, lub w zastaw poszle jakąś rzecz, ale gościom trzeba postawić się i dać dowód, że u nas nie biedno.

Czyż nie dzieje się tak samo i w innych okolicznościach? W strojach pań naszych, w ubiorach ich i ich dzieci, czy nie znać wszędzie o to starania, ażeby znamionować dostatek, zamożność, a nawet bogactwo, tam, gdzie jest w istocie mierny byt, a czasem i niedostatek?

„Ludzi się mierzy tem, co robią, a nie tem, co posiadają,“ — powiedział filozof, a powiedział słusznie, choć, niestety, nie chcą się do tego stosować, ani ci, co mierzą ludzi, ani ci, co pod miarą stają.

Jawnie, wszędzie, ciągle i nieustannie, jako miarę wartości człowieka stawiają pieniądź, a niczego, plamy żadnej na czci lub na sumieniu tak się nie boją ludziska, jak tego, ażeby ich nie miano za ubogich.

„Pani“ domu, nie jeden raz troską życie swoje całe osnuje, dźwiga ów ciężar niepokoju, o to, jak koniec z końcem związać, wysila się, jak może, aby „biedę łątać,“ fałszywym dostatkim, a ani spostrzeże się, ile złotych chwil zmarnowała, ile dobrych sposobności do zasług minęła, ile straciła korzyści przez to, iż nie w życiu innego nie kochała, nie cenila, nie pożądała, jeno, ażeby utrzymała dom na tej stopie, na jakiej mu być „wypada.“

— Jakżeż można myśleć o niezmiennieniu okrywek wiosennych dla córek naszych, jeśli tamte, córki rzeźnika kupiły sobie nowe?...

— Jakżeż ja mogę mieszkanie nająć w oficynie, jeżeli tu na froncie mieszka krawiec, toby było z ujmą dla tytułu urzędnika, ażeby on gorsze miejsce zajmował.

Tymczasem „panie“ takie nie rozważają, iż stan urzędniczy wcale nie ma przywileju na bogactwo, a owszem rękodzielnik może się bardzo łatwo dorobić majątku, bo tu od zręczności, pilności i zdolności zależy przyszłość. Rzemieślnik może w 2—3-ch latach dojść do fortuny znacznej, a urzędnik posuwa się powoli po szczeblach awansu i zawsze tylko tyle dostanie na „pierwszego,“ ile mu ranga jego przynosi.

Córki rzeźnika, krawca, pogardliwie traktowane przez „panie“ wyższej klasy, jeśli zmieniają toalety zbyt często, mogą grzeszyć tem,

iż grosz na czcze szmatki wydają, lecz córki urzędników strojące się podobnie, grzeszą ciężej, bo pomnażają niedobory i otwierają przepaść ruiny przed całą rodziną.

„Pani“ mając szumny tytuł stanowiska swego męża, uważa, iż gdyby zarobkowniu jakiemu oddać się chciała, poniżyłaby rangę tej lub owej klasy, upośledziłaby stan, wyższy od klas rzemieślniczych, bo jakże to pracować, gdy się jest przecie „panią?...”

Jeśli tylko utrzymanie rodziny wymaga większych dochodów nad te, które przynosi praca męża, należy znaleźć pracę, pomagającą w utrzymaniu tej wielkiej maszyny, jaką jest rodzina liczna.

Ale nie dla zbytków i grymasów, dla szmatek, niszczących się za jednym użyciem, dla balów i rautów toczących się lawiną, nie na to wszystko ma być zarobek „pani“ obracany i zużytkowywany, bo wtedy idzie grosz na marne i skrzywdzi tych, którym pracę odebrał.

Poniżeniem, pohańbieniem rangi męża nie może stać się nigdy uczciwa praca żony, bo zawsze praca jest szlachetnym czynem i zawsze ozdabia czoło zasługa.

Jeśli zaś gdzie, to u nas, w kraju we wszech miar ubogim, przy zupełnym zaniku przemysłu i gospodarstw domowych, praca kobiet może przynieść niezmiernie korzyści i stać się zasługą wielce pożyteczną.

Sprowadzają kupcy zaczęte roboty kanwove z zagranicy; czy nie mogłyby „panie“ zaczynać robót u siebie? Sprowadzają ogromne masy koronek klockowych z zagranicy; czy nie można ich wyrabiać w domach naszych? Nie sposób wyliczyć wszystkich zajęć i prac, któreby nie odrywały „pani“ od domów, nie pozbawiały rodziny opieki, a zarazem mogłyby nieść pomoc w trudach o utrzymanie domu.

Zdarza się słyszeć czasem zdanie, iż nie należy kobietom zameżnym odbierać pracy ubogim paniątkom, hafciarkom i szwaczkom, więc dla tego „panie“ nie robią nic, aby uboższym w pracy nie przeszkodzić.

Na to jest kwestya inna. Niejeden raz, żona urzędnika, „pani“ domu licznego, bywa w trudniejszych warunkach, jak paniątko jakaś uboga, bo gdy tamta sama siebie ma na utrzymaniu, „pani“ miewa dzieci kilkoro, a pensya męża nie może nigdy dać tyle, ile niezbędnie mieć potrzeba. Pojęcie słowa „pani“ jest bardzo rozciągliwe. Od najbogatszych do najuboższych sięga, obejmuje pod swe miano i „panie,“ i „nie panie,“ bo często tylko wedle kroju sukni i kapelusza na głowie do godności „pani“ wynosi kobiety, a wszakże nie to ma być godnością „pani,“ iż ubrała się „po pańsku,“ ale to ma być jej godnością, iż ona w spełnieniu swych obowiązków stała się wyższą nad wiele innych.

Lepszą „panią“ w znaczeniu duchowem jest owa Maciejowa lub Janowa na wsi, która jak umiała, tak dzieci chowała, gospodarzyła skrzętnie, przysporzyła mężowi pomocy, dzieciom dokupiła gleby, jak pszczoła do ula znosiła zapasy na przyszłość, podczas, gdy „pani“ X. Y. Z. „panią“ była wedle każdej mody, ale dzieci swych nie znała, bo niemi się zając nie miała czasu, domu nie znała, bo w nim nigdy nie była, w plecione przy-

musów nie wykonała żadnej nici obowiązku, jak należy.

Wszakże nie jeden raz tak jest, iż właściwą „panią“ domu jest poczciwa służąca, która się o wszystko troszczy, stara, wszystkim opiekuje i zajmuje, na której ramionach nie tylko cały ciężar utrzymania domu spoczywa, lecz także i opiekowanie się „panią“, jak dzieckiem największym, także ją obarcza.

A do tego, ileż jeszcze gderania i niezadowolonia taka służąca znieść musi nie jeden raz wtedy, gdy „pani“ nie rozumiejąc się na niczem, żąda rzeczy niemożliwych do wykonania...

Trzeba tylko badawczym okiem wejrzeć w życie domów naszych obecnie, ażeby przekonać się, jak niezmiernie wiele brakuje tym sercom kobiecym, które mają nieść szczęścia zadatek i szczęście budować trwale.

„Każdy czyn nasz, jest naszym najdoskońalszym obrazem,“ — powiedział Trentowski.

Cóż będzie obrazem tych „pań“, które żadnych innych czynów nie spełniają, jak tylko stroją się i bawią?...

Cóż będzie obrazem tych „gospodyń“ domu, które najfatalniej myliły się w pojęciu o swoich obowiązkach i wykonywały wszystko to, co ich oddalało od prac na nich czekających?...

Na czynach złe lub wcale nie wykonanych rysuje się obraz ludzi słabych duchowo, lub — zupełnie bez ducha.

Jadwiga z Z. Strokowa.

HISTORIA KOBIECY.

STUDIUM SPOŁECZNE

Julie Tarpiłowską.

(Ciąg dalszy).

Wprost przeciwnego usposobienia, niż ta grymasna córka północy, była znakomita córka południa, święta Teresa. Rodem z dumnej starej szlachty kastylskiej, piękna i świetna, pociągana ponętami świata, które na niej silne robiły wrażenie, powiedziała sobie, że nie tędy dla niej droga i wbrew upodobaniom rządząc się przekonaniem, młodzieńką panienką będąc, przełamała wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne przeszkody i została Karmelitką. Ale nie o to tylko chodziło: szło o to samo, co przeprowadzali wówczas reformatorowie drogą buntu przeciw Kościołowi i wiarze — o poprawę Kościoła w jego członkach, lecz jedynie na drodze legalnej, z upewnienia duchownej zwierzchności. Opracowaną przez Teresę regułę klasztorną, ujmującą w ścisłe karby rozluźniony zakon karmelitański, papież Pius IV zatwierdził i do wykonania zalecił. Uzbrojona w to pełnomocnictwo, energiczna ksieni z nadludzką gorliwością i prawdziwym mężstwem przyłożyła siekiere do gwałtownego korzenia, a przewyciężywszy wszystkie trudności i przeciwności, dokonała pracy olbrzymiej. W krótkim stosunkowo czasie, bo kilkonastoletnim, reforma kla-

sztorna w Hiszpanii została przeprowadzona z tak dodatnimi rezultatami, że podług wzoru kobiecych monasterów i męskie reformować zaczęto, a prąd tego duchowego odrodzenia, wyszedłszy z dzielnej piersi kobiecej, długo i daleko zataczał szerokie kręgi, przeciwstawiając żywy argument zaparcia się i umartwienia protestanckiej niepowściągliwości. Z praktyczną działalnością, pełną siły i konsekwencji, łączyła Teresa nadzwyczajne uduchowanie. Jej mistyczne uniesienia i zachwyty w miłości Bożej, były źródłem natchnień, pod których wpływem pisała dzieła religijnej treści o tak głębokiej myśli i tak wysokim polocie, że mało jest im równych w tym rodzaju. Posiadała też nieposledni talent poetycki, którym się posługiwała na wysławienie płomiennych swych uczuć ku pierwiastkowi wszechmiłości. Dzieła jej miały tak rozgłośną sławę, że je tłumaczono na wszystkie cywilizowane języki, a powaga ich była tak wielką w Kościele, że Teresę jedyną wśród kobiet, nazywano w porównaniu do Ojców „Matką Kościoła.“

Nie wiele później, we Francji, inna kobieta wyższej duchownej miary przyczyniała się do dzieła poprawy społecznej przez udoskonalenie kobiety, tym razem nie zakonnej, lecz świeckiej. W pierwszej połowie XVII wieku założonem zostało zgromadzenie PP. Wizytek, mające za cel edukację panięńską. Pomysł i plan tego dzieła wyszedł od mężczyzny, ale wykonanie jego godnie spełniła kobieta. Franciszek hrabia de Sales, biskup genewski, misjonując w Sabaudyi w czasie reformacji, nawracał mnóstwo kalwinów, nie tylko swą niezwykłą wymową, ale nadzwyczajną słodyczą, dla której nawet jego przeciwnicy nazywali go aniołem. W związku zapewne z tą zasadą przyciągania na łono Kościoła jedynie ewangeliczną łagodnością, powziął Franciszek Salezy myśl wychowania dziewcząt w taki sposób, aby rodzina i świat pozyskiwały w nich kobiety, przynoszące pożytek sprawie religijności i umoralnienia przez potężny czynnik dobroci niewieściej. Do przeprowadzenia swojej myśli wynalazł sobie duszę wyborową, którą przejął zapałem dla sprawy i natchnął wytrwałą energią, tak, iż pod jego dyrekcją gorliwa i niestrudzona Joanna Franciszka baronowa de Chantal literalnie okryła gęstą siecią zakładów wychowawczych nowego typu całą Francję i Sabaudyę. Przed śmiercią swą miała pod swoim zarządem osmdziesiąt siedm klasztornych pensyonatów, a po jej śmierci pożyteczne dzieło nie zanikło, lecz trwa dotąd, stroną swą pedagogiczną zmieniając inteligentnie względnie do potrzeb czasu, a stroną duchową zachowując niezmiennie według myśli swych założycieli.

W rzedzie wyjątkowo niepospolitych kobiet tego okresu zdarzały się i takie, które wśród tych burzliwych czasów nie spuszczały się wyłącznie na opiekę mężką, lecz uznawały potrzebę samoobrony i ćwiczyły się w odpowiednim kierunku. Taką dzielną białogłową była pani de Saint Balmon, która miała mężką siłę i męskie upodobania w takim stopniu, że dorównywała najdzielniejszym żołnierzom, a szablę i rusznicę miała za nieodstępne towarzyski całego życia. Była ona panią zamku Neuville w Lotaryngii, wystawionego na

ciągłe napady band łupieżczych, w czasie wojny Trzydziestoletniej. Ponieważ pan zamku lata całe spędzał w obozach i gościem tylko bywał w domu, pani, wyuczywszy się od niego jeszcze w pierwszych czasach małżeństwa sztuki żołnierskiej, stała się rycerską opatrnością tak rezydenci i dóbr swoich, jak i całej okolicy. Wyćwiczywszy sobie zastęp tęgich rębaczy, na ich czele nie tylko broniła zamku od lotrowskich napadów, ale w okolnych borach wyprawiała łowy na rabusiów, udzielała odsieczy dalszym dworom, konwojowała podróżnych i wszelkim grasantom tak się dawała we znaki, że omijali zdaleka jej zameczek, gdzie zawsze znaczna liczba bliższych i dalszych sąsiadów chroniła się pod jej opieką przed okropnościami tej pustoszącej kraje całe walki. Owdowiawszy, postanowiła, pomimo licznych aspirantów, w dożywotnej żałobie pozostać, i tak do śmierci była panem i panią domu, ojcem i matką swych dzieci, obrońcielką uciemiężonych, a oprócz tego wzorowo prowadziła gospodarke kobiecą, gorliwie zajmowała się dobroczynnością i religijnymi praktykami, a mając umysł ukształcony, czytywała po niemiecku i po łacinie; co zaś najdziwniejsze, to, że jej pobożność, ludzkość, uprzejmość, miały charakter czysto kobiecej, ciepłej i serdecznej słodyczy.

Skończył się nakoniec okres wojen religijnych, przyniosłszy wiele zawodów nowatorom, pomimo ostatecznej wygranej stronnictwa reformy. Gdy ochłonawszy z namiętności, przeprowadzono bilans strat i zysków, okazało się, co następuje:

Pokój Augsburgski, następnie Westfalski, uczynił tolerancję religijną powszechnym prawem cywilizowanych narodów, a władza świecka i kościelna zostały rozłączone. Odtąd religia i polityka miały chodzić nie z sobą ani przeciw sobie, tylko obok siebie, sprawy duchowe nie miały być wtłaczane w ciasnię interesów światowych, a rzeczy wieczne być obracane w służbę i milicję rzeczy doczesnych. Odtąd najważniejsze z dóbr człowieka, jego wewnętrzne przeświadczenie w sferze wierzeń religijnych, przestało podlegać urzędowej kontroli, a jurysdykcyja policyjna nie miała już nigdy stawać na drodze stosunku człowieka z Bogiem, a przynajmniej nie w poprzedniej formie brutalno-despotycznej.

Ale oprócz tych dodatnich rezultatów okazało się także, że kwestya, tkwiąca na dnie walk pseudo-religijnych, a dla znacznej większości ich uczestników stanowiąca jądro rzeczy, nie została wcale rozwiązana. Wadliwe ustosunkowanie społeczne, anormalne warunki ekonomiczne, znieprawione ustroje polityczne, pozostały, czem były, a wynikające ztąd zatargi, przytłumione tylko, lub zaspokojone tymczasowo, wciąż tkwiły we wnętrzu organizmu społecznego, jak podleczone, lecz niewykorzeniona choroba. Odtąd też poczęło się wyraźniejsze widzenie stanu rzeczy i pojawiły się do rozstrzygnięcia tezy socjalno-demokratyczne, jako najpoważniejsze zagadnienia dziejów najnowszych. Stwierdzono, że jak niegdyś lud rzymski potrzebował koniecznie igrzysk i chleba, tak teraz cała massa europejskiego ludu potrzebuje koniecznie swobód i dobrobytu. A ponieważ ani większych

wolności, ani korzystniejszego zarobkowania nie dały massom walki reformacyjnej, zatem ferment pozostał wciąż wzburzony i coraz to innego ujścia sobie szukający.

Slepa jeszcze ta siła rzucała się na rozmaite więzy i zapory, biła w rozmaite węzły okólnego muru, nie trafiając na właściwy. Tak pierwsze uderzenie tego taranu w XVI-ym i XVII w. zwróciło się ku Kościołowi; drugie gotowało się pójść tą drogą dalej, uderzając w podwaliny wszelkiej wiary sceptycyzmem XVIII-go wieku; trzecie dopiero miało uderzyć w miejsce właściwe rozpędem straszliwie przeholowanym, ale tym razem trafny: rozwiązać kwestyę, a raczej zapoczątkować racjonalne jej rozwiązanie, miała dopiero wielka Rewolucya, — najważniejszy wypadek historii nowożytnej.

A wśród tych krwawych zapasów o prawa człowieka, pomiędzy mnóstwem stojących odtąd jawnie przed sądem powszechności tajonych zatargów społecznych, stanie także na widowni w ostatecznej swojej fazie zapoznawana przedtem lub lekceważona kwestya kobieca.

Z końcem tego okresu punkt ciężkości historycznej i kulturalnej przenosi się do Francji. Odtąd na całe dwa wieki Francja staje się osią i słońcem cywilizowanego świata; jak Ludwik XIV mógł o sobie powiedzieć: „państwo—to ja,“ tak ona mogła mówić: „Europa—to ja.“

I nowy typ kobiecy po ostatecznym zaniżeniu lub przeobrażeniu się typu humanistki w okresie Reformacji, wytworzył się we Francji. Tam też doszedł on do swego skończonego rozwoju i ztamtąd narzucał się stale innym krajom, których kulturalne mieszkanki żarliwie go naśladowały, adoptując nową formę kobiecości razem z wszechwładną na świat cały od świetnych czasów Ludwikowych modą paryską.

(Ciąg dalszy nastąpi).



CIOCIA Z PUSZTY.

(Obrazek z bruku).



(Dokończenie).

Rachoccy osłupieli. Młodszy swe duże oczy szeroko otworzył, starszy wzniósł do góry obie ręce ze zdumieniem, które przechodziło wszelką miarę.

— Była córka? gdzie?

— W Bristolu, mój panie! — brzmiała odpowiedź, zaakcentowana dwukrotnym ruchem głowy.

— W Ameryce?

— Kpiny, czy co takiego? W Bristolu u nas, w Bristolu, na Krakowskim! Że córka, wiemy dobrze, bo i ja widziałam; Trusińscy z Zapiecka byli wtedy u mnie i z o-kna też widzieli. Panna nieładna, tylko wspa-niała...

— Tak, — dorzuciła Grzymałkowska, popie-rając sąsiadkę, — włosy rude, nos długi, cie-niutki, w uszach brylanty, jak fasole...

— Przepraszam, — odparł chłodno starszy

z panów, cofając się ku drzwiom. — Sądziłem, że znajduję się w mieszkaniu kuzynki naszej, pani Romanowej Biedulskiej, ale teraz widzę, że tak nie jest, proszę zatem wybaczyć mi i synowi mojemu...

— Nie! nie! tak! owszem!... — wołano z róż-nych stron.

— Niechże pan raczy usiąść! — nalegała sędzina.

W chwili krytycznej weszła Magda, niosąc herbatę i pączki, tuż za nią Józia, rumiana, jak jabłuszko, i czegoś bardzo rada, wbiegła ze słowami:

— Mama mówiła, że to pewno omyłka, ale posłaniec nie chciał słuchać, poszedł i kosz zostawił. Więc teraz nie wiemy...

Przerwała zmieszana, ujrawszy obcych pa-nów.

Rachocki do dziewczyny przypadł:

— Córka Romka! podobna niby dwie kro-ple wody! Czysty Romek!

— Pan de Rahota... — wycedziła kanoniczka.

— Nie Rahota, Boże broń! tylko Rachoc-ki z Wilczych dołów za Kotuniem! — wołał gość, witając się serdecznie z panią Romano-wą, i po uściskaniu Józii, całując Zosię. — Nie Rahota jestem, nie gruchota jakiś, lecz Ra-chocki z dziada, pradziada, i nie córkę mam, jak panie dowodzicie, lecz tego oto syna je-dynaka, Zygmunta — i nie w Bristolu, lecz w Polskim stoję. Szczególne nieporozumienie spotkało mnie tutaj, ani wiem, co mam o tem sądzić...

Pani Biedulska, rada krewnym, zaznajomi-ła panów ze swoimi gośćmi; Józia częstowała herbatą i pączkami. Młody baletnik dał ha-sło do mazura:

— Wszystkie pary!

— Że też myśmy się nie znali! — gawędził Rachocki w dalszym ciągu. — Ale wynagro-dzimy sobie krzywdę — chcecie?... Bo ja umyślnie przyjechałem do was, dalibóg! Śnił mi się Roman, że przyszedł i powiedział: „Joa-się mi zadziobią!“ A ja w śmiech... „Zadzió-bią!“ — powtórzył z najpoważniejszą w świe-cie miną. — A ja pytam: „Kto?“ On mówi: „Kwoki.“ Tyle go widziałem.

Sędzina uśmiechnęła się słabo, kanoniczka udała, że nie słyszy, Kafarkowa zaczęła coś mówić z ożywieniem.

Przy kolacyi, traktując miodem, z piwnicy własnej przyniesionym, pan Mikołaj Gruby rozrzewnił się do łez.

— Ja, panie — mówił, — jestem obcy, ale takich obcych miejcie dużo! Dziad mój ze Szlązka przyszedł, zwał się Grube. Kiedy umierał, powiedział memu ojcu: „Słuchaj, Emil, ty po tutejszemu się przezwij, bo i my niegdyś, — czuję to, — nie byliśmy Grube...“ Oj-ciec tak zrobił, więc ja nazywam się Gruby. Ale synowie moi, wnuki moje muszą być Grubscy; żeby nie wiem ile kosztowało, mu-szą być...

Ludwik ucałował rękę ojca; Zosia kiwnęła mu głową.

Po skromnej kolacyi tańczono do rana, gdyż nazajutrz było święto uroczyste. Zygmunt obsługiwał gości razem z Józją; pomagał tak gorliwie, że rumieniła się i śmiała, i znów się rumieniła, „aż ją złości brały.“

* * *

Nazajutrz panie Biedulskie poszły do Bry-

stolu, wizyta jednak nie powiodła się zupeł-nie. Hrabiosstwo po jakimś balu spali; lokaj przyrzekł bilety doręczyć — i na tem się skoń-czyło.

Ciekawość kumoszek wzrastała do potęgi, gdy wieczór minął, noc zapadła, a u Biedul-skich ciemno było i cicho, jak w grobie. Pa-ni Kafarkowa zaglądała tam coraz, „nie mo-gąc oka zmróżyć,“ wreszcie zdała wszystko na łaskę Opatrzności i zasnęła.

Rankiem na schodach wzięto w obroty Ma-gdę, idącą po pieczywo.

— O której wróciły? z kąd wróciły? i czy razem pani z panienkami?

Dziewczyna nie wiedziała.

Później — skandal okropny wstrząsnął ka-mienicą... Panny zmyliły czujność sąsiadek — umknęły z domu niewiadomo kiedy. Umknę-ła też i „stara.“

— Musi wrócić, stołowników ma! — powta-rzały kumoszki.

Ale stało się inaczej. Obca kobieta jakas przyrzadziła obiad i wykwinie go podała. Głuchoniema pewno, gdyż kiwała tylko głó-wą lub kręciła nią na przemian.

— Apopleksyi można dostać — mówiła Ka-farkowa. — Ani się dogadaj z babą, czysty pień!

Nieobecność Biedulskich trwała tydzień. Doprowadzone do „ostatniej passyi“ sąsiadki pozabierały swoje meble; Grubskim, zachowu-jącym się biernie, odesłały ich rzeczy, słó-wem zrobiły porządek.

Kafarkowa z trzaskiem i łomotem zamknę-ła salon: „Skończyły się piękne dni Aranju-ezu!...“

— Masz! — rzekła, klnąc siarczyście. — Ina-czej teraz spiewać będziesz! Poduszają się hra-biowie w twoich ciasnych klitkach — ja salonu nie dam!

Jak gdyby tego tylko oczekując, głucho-niema jejmość wzięła się z Magdą do roboty i ład zaprowadziła. Mieszkanie odzyskało da-wny, sympatyczny wygląd.

Kareta de Rachotzky'ch zaraz nazajutrz znów się pojawiła, budząc sensacyę, nie mniej-szą, niż poprzednio.

Drab poniósł bilety na górę, rzucono się do okien i Kafarkowa dostrzegła, że w po-wozie siedzą cztery osoby. Obok panny był mężczyzna — pewno Zygmunt.

— W takim razie, gdzie się podziały Bie-dulskie?...

Przypuszczono atak do Grubskich. Ludwik, zajęty cały dzień, gdyż oprócz lekcji w Kon-servatoryum, brał jeszcze inne na mieście, uniknął badania. Pan Mikołaj wszakże mu-siał wysłuchać badań i wyroku.

— Trzeba coś z temi waryatkami zrobić! — osądziła Grzymałkowska.

— Wymeldować, jako zbiegłe i już! — do-dała Kafarkowa.

Gruby tajemniczo się uśmiechał i nie nie rzekł.

Panie wywnioskowały:

— Musi coś wiedzieć — lis chytry! wie na pewno!...

* * *

Nakoniec bomba pękła: Biedulskie powró-ciły.

Na parę godzin przedtem zajechała znów kareta, lokaj drzwiczki otworzył, ukazało się

puddo olbrzymie, które wyjął i na trzecie piętro poniósł.

Co było w pudle, nikt nie mógł się dowiedzieć. Poszło zaraz do spiżarki, baba na klucz ją zamknęła, a klucz schowała do kieszeni.

Panie umierały z ciekawości.

Powrót Biedulskich życie im ocalił; zjawily się też natychmiast. Wdowa czytała właśnie listy od hrabiostwa.

„Dziękujemy za pamięć, *chères cousines*. Byliśmy ciągle tak zaabsorbowane obie z Eustazją, a Jules miał tyle zajęć, że brakło nam czasu na dłuższe wizyty i bliższe poznanie się z Wami.

Śliczne miasto!... Eustazya zaręczona z bankierem tutejszym, panem Capaninim. Poznaaliśmy go w Monte-Carlo; teraz wyjeżdżamy do Nizy. Adieu, *chères!*“

W drugim liście hrabina pisała:

„Długo myślałam, coby wam ofiarować na pamiątkę... Nie znam waszych gustów, *mes chères*, a nie lubię być brutalną. *Jamais!*“

„Przyszła mi myśl wspaniała... Ponieważ jestem przyrodniczką i podróżniczką, raczcie przyjąć z łaski swojej pięknie zakonserwowanego pytona. Okaz średni, lecz dość niezwykły; ręczę, że nikt z waszych znajomych nie posiada takiego w swoich zbiorach. *Toute a vous*“

Iza R. de R.“

Zanosząc się od śmiechu, Józia kazała przynieść pudło, a właściwie mocną i ciężką skrzynię!

— Konserwy, i tak duże! — mlasnęła językiem pani Kafarkowa, wysunąwszy się naprzód, by widzieć dokładniej.

Gdy wieko odemknięto, jejmość zbladła, wyprężyła się, jak struna, krzyknęła i padła na ziemię. Zemdląła ze strachu.

Ocucona środkami domowymi, długo uspokoić się nie mogła. Krzyczała przeraźliwie:

— Franek, Janek, Maryanek! weźcie mnie ztąd! Zuzia — czyś głucha? Fruzia, choć-że prędzej! *Nerwuje* mnie i mdli — nie wytrzymam! słyszycie łajdaki! To skaranie Bozkie!...

Przy pomocy Marcinowej i Magdy, sąsiadki zadźwigały do łóżka korpulentną babinę. Płacz histeryczny towarzyszył niezwykłemu pochodowi.

Nazajutrz dzielnicę staromiejską obiegała pogłoska, że wąż zjadł kobietę, trzech żydów, dwoje dzieci i dwa psy.

Na rynku tłum radził, jakby strasznego węża zabić; wielu mężczyzn upiło się przytem, paru wzięto do cyrkułu, a baby stały pod bramami, zdawszy dzieci na los szczęścia i wymyślały coraz nieprawdopodobniejsze okropności.

* * *

„Głuchoniema“ wynagrodziła sobie ciężkie dnie milczenia przymusowego.

Rozповідаła teraz każdemu, kto chciał słuchać, że jest gospodynią u pana Rachockiego w Wilczych dołach, że ją pan wezwał tu od córki, do której przyjechała, że paniczkochoał się szalenie w pannie Józii, pan wziął mu dierzawę pod Grójcem i byli tam właśnie teraz, że niedługo ślub młodych, a jutro zaręczyny.

Nie zapomniała dodać o pieczeniach, leżących w occie, o drobiu z pod Grójca przywiezionym, o owocach, konfiturach i smakoły-

kach, które sama układała w koszu, gdy pan do Warszawy się wybierał. To wszystko silnie wzruszyło Kafarkową. Ze łzami w oczach oddała swój salon, świeżo wyfroterowany i opalony.

O „cioci z puszt“ w dzielnicy staromiejskiej głucho. Czy Józia i Zosia podzieliły się pytonem, kroniki milczą również.

O dalszym losie trzech niewiast mamy za to relacje dostateczne. Pani Biedulska mieszka na wsi, Rachoccy gospodarstwem się zajmują, a Zosia i Ludwik jeżdżą po świecie ze skrzypcami.

Karolina Szaniawska.



G. FLAUBERT.

LEGENDA O ŚWIĘTYM JULIANIE GOŚCINNYM.

(„La Légende de St. Julien l'Hospitalier“).

tlóm. M. Pankiewiczówna.



(Ciąg dalszy).

Podczas wieczerzy oświadczył ojciec, że Julian jest dość duży, by zacząć polować. Przyniesiono stary zapisany zeszyt, zawierający w pytaniach i odpowiedziach całą mądrość myśliwca. Nauczyciel objaśniał tam ucznia, jak tresować psy i oswajać sokoły, zastawiać sidła, jak poznać jelenia po odorze, a lisa i wilka po śladach łap, jak te zwierzęta tropić i wypłaszać z legowisk, gdzie się ich leża znajdują. Wskazane tam były przychylne dla myśliwca wiatry, a także okrzyki i zawołania łowieckie i reguły podziału zwierzyny.

Gdy Julian umiał już to wszystko na pamięć, ojciec zebrał mu sfore.

Przedewszystkiem było tam dwadzieścia cztery barbaryjskich chartów, lotniejszych od gazelli, lecz łatwo się zrywających; dalej siedmnaście par psów bretońskich z sierścią czerwoną w białe plamy, z rozłożystą piersią, ogromnie pewnych, lecz lubiących w pościgu wyć. Na dzika i do niebezpiecznych pogoni było czterdzieści kudłatych gryfonów, podobnych wilkom. Równe wzrostem osłom, brytany tatarskie o ognistej sierści, prostych nogach i szerokich krzyżach, przeznaczone były do naganki na żubry. Czarna sierść piesków bonońskich lśniła, jak atlas; naszczekiwanie talbotów mieszało się z ujadaniem grających ogarów. W osobnej zagrodzie warczało, porbrzękując łańcuchami, ośm olbrzymich dogów z łyskającymi ślepami; straszne te psiska rzucają się na jeźdźców, wgryzając się koniom w brzuchy, a nie lękając się nawet lwa.

Wszystkie jadły chleb przenny, piły z kamiennych koryt i nosiły dziwaczne przezwi-

ska. Sokolarnia, być może, przewyższała jeszcze psiarnię; dobry kasztelan za pieniądze sprowadził sobie małe sokoły kaukazkie, białozory z Babilonu, sokoły podróżniki, chwytane w dalekich krainach na stromych brzegach

zimnych mórz. Pomieszczono je w szopie krytej słomą i przywiązano na grzędzie w porządku wielkości; przed nimi leżało nieco darniny, na której od czasu do czasu sadzano je, by sobie rozprostowały skrzydła.

Przygotowano też mnóstwo worów, sidel, haczyków i innych myśliwskich przyborów i narzędzi.

Często brano w pole wyżły, a te po kilku chwilach wystawiały zwierzynę. Strzelcy skradali się wtedy pocichu i ostrożnie narzucali na ich nieruchome ciała ogromną sieć. Na dany znak psy szczekały: stada przepiórek zrywały się z ziemi, a sproszone z sąsiedztwa damy, mężowie ich, dzieci i służba hurmem rzucali się na ptactwo, łapiąc je z łatwością gołymi rękoma.

Kiedyindziej urządzano z biciem w bęben naganki na zające, lis jaki wpadał do fosy, lub sprężynowe sidła łapały za nogę wilka.

Julian w pogardzie miał tak łatwe sztuki; przekładał on polowanie samotne i uciekał zdala od ludzi z koniem tylko i sokołem.

Posługiwał się prawie zawsze wielkim scytyjskim sokołem, białym, jak śnieg; miał on skórzany kaptur z piórem, a u sinych łap sine grzechotki; mocno siedział na ramieniu swego pana, podczas, gdy ten galopował, a jedna za drugą mijały równiny. Julian, rozwiązując sznurek, wypuszczał ptaka, ten wzbijał się w przestworza, jak strzała; widać było tylko, jak dwie nierównej wielkości plamy krążyły koło siebie, łączyły się, nakoniec i znikaly w błękitie. Po chwili wracał sokół, rozdzierając jakiegoś ptaka i z drżącymi skrzydłami siadał na rękawicy.

Tak polował Julian na czaple, kanie, wrony i jastrzębie.

Lubił on, dmąc w róg, wyjeżdżać z psami, które biegły po stokach gór, skakały przez strumyki i spieszyły do lasu; gdy jeleni zaczęła jęczeć pod ich kłami, szybko dobijał go Julian i nasyczał się wściekłością brytanów, pożerających pokrajane w kawały, dymiące jeszcze mięso.

W dni pochmurne zapuszczał się w błota i zaczynał na dzikie gęsi, kaczkę i wydry.

Od świtu trzech giermków zwykło było czekać na Juliana u progu zamku, stary zaś mnich próżno dawał znaki ze swego okienka. Julian nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Wyjeżdżał w słoneczny żar, na deszcz, na burzę, dłonią pijał wodę źródlaną, gdy czuł głód, jadł dzikie jabłka, gdy był zmęczony, odpoczywał pod pierwszym lepszym dębem. Do domu wracał późno w nocy, pokryty błotem i krwią, z cierniami we włosach, przepojony wonią dzikich zwierząt, którym stał się podobny. Gdy matka całowała go, przyjmował pieszczotę chłodno, zdając się dumać o rzeczach głębokich.

Potrafił iść na niedźwiedzia z nożem, powalić byka toporem lub dzika oszczepem. Raz nawet z kijem tylko w rękę obronił się wilkiem, ogryzającym trupy pod szubienicą.

Pewnego zimowego poranku, uzbroiwszy się dobrze, wyjechał Julian z zamku przed zachodem słońca z łukiem za plecami i pękiem strzał u siodła. Duński koń jego szedł różnym krokiem, z tyłu biegły dwa jamniki. Wiatr ostry dał, krople szronu czepiały się

plaszczą. Niebo rozjaśniło się z jednej strony i wśród bladawego zmierzchu ujrzał Julian stado królików, igrające u wejść do swych nor. W tej samej chwili rzuciły się na nie jamniki, gryząc i szarpiąc bez litości.

Niezadługo dojechał Julian do lasu. Na gałęzi spał ocieślały od zimna cietrzew z głową pod skrzydłem. Julian płazem miecza utracił mu obie nogi, i nie podnosząc ptaka, jechał dalej.

W trzy godziny później znalazł się na wierzchołku góry tak wysokiej, że niebo nad nią zdawało się prawie czarnem. Przed nim ciągnął się długi mur skalny, górujący nad przepaścią, na końcu jego stały dwa dzikie kozły, zapatrzone w głąbię. Julian nie miał strzał (gdyż konia pozostawił był w tyle), umyślił więc dotrzeć aż do tych kozłów. Napół zgięty, boso, zeszedł na dół i wbił sztylet w bok pierwszego; drugi z przerażenia skoczył w przepaść. Julian rzucił się za nim, lecz pośliznąwszy się prawą nogą, upadł z rozkrzyżowanymi rękoma i twarzą zwróconą ku przepaści, na trupa zabitego zwierzęcia.

Wróciwszy na równinę, jechał Julian wzdłuż rzeki, obrosłej wierzbami. Nizko szybujące zórawie przelatywały mu nad głową; Julian zabijał je batem, a żadnego nie chybił.

Tymczasem powietrze się ogrzało, śnieg stopniał, podniosły się opary, słońce weszło. Julian ujrzał w oddali zastygłe jezioro, jakby z ołowiu; na środku siedziało nieznanne mu zwierzę—bóbr z czarnym pyszczkiem. Pomimo oddalenia położył go strzałą z łuku i żałował bardzo, że nie mógł zabrać skóry.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Miguel de Cervantes Saavedra.

(W trzechsetną rocznicę powstania „Don Kichota“).



(Dokończenie).

Pierwsza w szeregu nowell: „Mała cygan-ka“ („La Gitanella de Madrid“), opowiada historię uroczej Precyozy, dziecięcia znakomitego rodu, ukradzonego przez Cyganów i wyrosłego w dzikości cygańskiego życia. A zwrócić tu trzeba uwagę na świeżość i oryginalność wprowadzonego motywu, ponieważ cyganie dopiero w XV-tym wieku pojawili się w Hiszpanii, a w czasach Cervantesa dopiero mniej więcej, od lat pięćdziesięciu poczęli znośne wieść życie. W licznych miejscach tego małego opowiadania uderza nas niepospolita prawda i polot. Godne podziwu są rozdziały poświęcone pierwszemu pojawieniu się Precyozy w Madrycie, podczas wielkiej religijnej uroczystości, wrażeńiu, wywołanemu przez jej taniec i śpiew na ulicach miasta, jej odwiedzinom po pałacach, kędy bywała zapraszana dla rozrywki znakomitych osób, dalej rozmowy przez nią prowadzone i pochwały, jakimi ją otaczają. Wszystko to nie pozostawia żadnej wątpliwości co do prawdy i rzeczywistości malowanych przez Cervantesa obrazów. Ale nowella ta zawiera również miejsca, które pod niejednym względem nieprawdziwie odtwarzają życie cygańskie, tak, że zdaje się to polegać raczej na spaczonych relacjach osób trzecich, aniżeli na bliższym obcowaniu z cyganami i dokładnej znajomo-

ści warunków ówczesnego życia cygańskiego w Hiszpanii.

Druga nowella znacznie się różni od pierwszej, nie mniej jednak również wysnutą została z przygód samego Cervantesa. Nosi ona tytuł: „Wspañałomyślny kochanek“ („El amante liberal“) i wątek jej stanowi niemal ta sama historia, którą Cervantes wplótł w „Życie algierskie.“ Rzecz się dzieje na Cyprze, w roku 1570-tym, a więc w dwa lata po zajęciu tej wyspy przez Turków; ale całe opowiadanie wysnute jest z tego, co Cervantes przeżył w Algierze, a co tu zostaje przystosowane do stosunków tureckich. Żywość rozmaitych opisów stanowi najlepsze świadectwo wierności obrazów.

Trzecia nowella: „Rinconete i Cortadillo“ znowu jest zupełnie różną od poprzednich. Zawiera ona pięknie pomyślaną zajmującą historię dwu młodych włóczków, którzy wstępują w roku 1569-tym w Sewilli do jednego z owych zręcznie zorganizowanych stowarzyszeń złodziejów i żebraków, które w Hiszpanii, w przeciągu trzech ostatnich stuleci często można było spotykać. Państwo ich hercztwa Manipodio, przypomina Alzację w romansie Walter-Scotta p. t. „Nigel“ i podobieństwo to staje się jeszcze bardziej ludzkie, kiedy później w nowelli: „Rozmowa dwu psów“ („El coloquio de los perros“) spotyka się tego samego Manipodio, sprzymierzonego w cichości ze sługą sądowym. Jeden rys wystarczy do pokazania, jak wiernie Cervantes odtwarzał naturę. Okazuje się mianowicie, że członkowie owej bandy, wiodący najbardziej wyuzdane, bezbożne życie, są jednak przesadnie, oddają cześć obrazom, chodzą na msze i przykładają się do pobożnych fundacji, jak gdyby złodziejskie ich rzemiosło było zwykłym, godnym szacunku procederem, z którego część dochodu winna być poświęcona na cele religijne, dla uświęcenia pozostałych celów: praktyka napół wstrętne, napół śmieszna, do dnia dzisiejszego w Hiszpanii stosowana.

Nie trudno byłoby w dalszym ciągu wykazywać, jak pozostałe dziewięć nowell zawierają podobne rysy, pełne prawdy i naturalności. Należą tu jeszcze „Hiszpanka w Anglii“ („La española inglesa“), zawierająca biografię młodej Hiszpanki, uprowadzonej do Anglii po spłądowaniu Kadyksu w roku 1596-ym, „Zazdrosny Estremadurczyk“ („El zeloso Extremeño“) i „Oszukańcze małżeństwo“ („El casamiento engañoso“), z których dwie ostatnie zdają się być oparte na rzeczywistym zdarzeniu. Są pewne dane, że można to również stosować do nowelli „Ciotka domniemana“ („La Tia fingida“), dopiero w naszych czasach znalezionej i wydrukowanej, a prawdopodobnie przez Cervantesa do druku nie przeznaczonej z powodu nie dość zręcznego ujęcia przedmiotu. I ona opiera się na zdarzeniu, które miało miejsce w Salamance w r. 1575-ym. Wszystkie te nowelle wykwitły świeżo na bogatej niwie narodowego charakteru Andaluzji i noszą na sobie iście hiszpańską pełnię, żywość i wdzięk języka, dzięki czemu do dnia dzisiejszego stanowią wzór niedościgły, aczkolwiek są najwcześniejsze ze wszystkich nowel hiszpańskich.

Należało zatrzymać się dłużej na intermedyach, a przedewszystkiem nowellach, jako prawie że u nas nie znanych, a na poznanie zasługujących dziełach Cervantesa, obecnie przejdźmy z kolei do arcydzieła, które stanowi koronę jego twórczości.

Jest niem nieśmiertelny romans p. t. „Wielce słynny hidalgo Don Kichot z Manszy.“ Głównymi jego zaletami są: niepospolity artyzm, połączony z dziwnym wdziękiem opromieniającym całą książkę, oraz wierność, z jaką odtwarza hiszpańskie życie i charaktery narodowe. Cervantes miał zapewne zamiar zmiażdżenia swą ironią idealnych hufców rycerskich; wystąpił więc przedewszystkiem z satyrą prze-

ciw romansom rycerskim, które chciał skazać na zagładę, ponieważ szkodliwa lektura nazbyt się naówczas w Hiszpanii rozplenila, tym czasem jako prawdziwy poeta, tworząc, wyrósł po nad zamierzone dzieło i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, czego dokonywa, napisał najwznioślejszą allegoryę, jaką posiada literatura wszechświatowa, allegoryę, która plastycznie kształtuje przed naszymi oczyma walkę pomiędzy idealizmem serca a realizmem życia. Ale Cervantes zniweczył swym Don Kichotem nie tylko romans rycerski, ale całą poezję opromieniającą średniowieczne czasy, napisał krytykę wymierzoną przeciw starym czasom i dał jednocześnie wzór nowego rodzaju twórczości, który nazywamy nowożytną powieścią. Miał rycerza, pokazał nam człowieka, wprowadził lud do literatury i w skutecznym kontraście przeciwstawił go zepsutej szlachcie owych czasów.

Dzieło jego ma formę opisu podróży. Dwie figury tworzą jego punkt środkowy; wyobrażają one zarazem dwa różne kierunki życia: Don Kichot, bohater, szlachcic z Manszy, który, z powodu ciągłego rozczytywania się w romansach rycerskich, dostał obłąkania i wzorem dawnych rycerzy powziął postanowienie wyruszenia na przygody dla obrony niewinności i prawa, a obok niego Sancho-Pansa, żarłoczny, samolubny wieśniak, obdarzony jednak dowcipem i znajdujący się, jako przedstawiciel pospolitej rzeczywistości w zupełnym przeciwieństwie z fantastyczną idealnością rycerza. Don Kichot dostrzega w każdym nie nie znaczącem zdarzeniu przygodę fantastyczną. Wyruszenie w świat z jego posiadłości jest nadzwyczaj charakterystyczne dla sposobu, w jaki poeta może rozpraszać fantastyczne upiory rycerstwa za pomocą owej niewinnej ironii, tak zawsze właściwej prawdziwemu humorowi. „Owóż tedy nie dawszyszy nikomu najmniejszej po sobie poznańki o zamiarze swoim, pewnego ranka, jeszcze przed świtem, a było to w Lipcu i pogoda śliczna, ciepłuchna, uzbiera się od stóp do głów, wsiada na Rossynantę, nadzieja tarczę, bierze dzidę i małą furteczką z brudnego podwórka, wyjeżdża niepostrzeżony; wymyka się w pole uradowany nieskończenie, że tak piękne zamiary tak dobrze i tak łatwo spełniać mu się zaczynają. Ale zaledwie ze sto kroków od domu odjechał, straszny skrupuł budzi mu się w głowie i tak mu dogryza, iż bez mała nie zawrócił do domu i nie porzucił całkiem tak cudnych zamiarów. Przypomniało mu się, że nie był pasowany na rycerza i że wedle obyczaju błędnego rycerstwa, nie miał prawa potykać się na rękę z żadnym rycerzem i że choćby już nawet był pasowanym, to powinien nosić tarczę bez żadnego napisu, bo napis taki dzielnością ramienia dopiero zdobyć sobie należy, inaczej jest się tylko mleczakiem i frycem. Uwagi te zachwiały go chwilowo w zamiarze, ale że rozumowanie wszelkie ustąpić musiało przed naciskiem szału zawziętego, postanowił więc, że pierwszemu lepszemu którego spotka, każe się pasować na rycerza, jak to czytał w książkach, że bardzo wielu już przed nim zrobiło. Że zaś terminem technicznym zbroja rycerza, który pierwszego pola jeszcze nie odbył, nazywała się bronią białą, powiedział sobie przeto, że swoją tak odpucuje, że od śniegu białszą będzie niezawodnie. Tym sposobem ukoił się w kłopotcie i ruszył naprzód drogą, wcale się o nic nie troszcząc i wybór w tej mierze zostawiając rozumowi konia; sądził bowiem, że to właśnie jest główną cechą powołania błędnych rycerzy.“

Tak więc Don Kichot wyrusza w świat i wszystko, co go tam spotyka, odbija się w jego duszy, jako rzeczywista przygoda. Gospodę poczytuje za kasztel, dziewczki służebne za księżniczki, właściciela szynkowni za kasztelana, wiatraki za olbrzymy, sztokfisz za pstrągi, marmurową miednicę za pałac

Mambryna; ztąd powstaje dlań cały szereg komicznych albo tragicznych przypadków i przygód. On jednak mimo wszystko wierzy niezłomnie w swą ideę i widzi wszystkie rzeczy tak, jak je chce widzieć, i w tem tkwi źródło jego siły. Przeciwiństwo pomiędzy idealizmem a realizmem, pomiędzy fantazją a rozsądkiem przesuwa się przez całe dzieło, a przeciwiństwo to jest wcielone w dwie postacie, które jako silne kontrasty, składają się na jednego bohatera powieści.

Obie te postacie ustawicznie się parodują i dopełniają się nawzajem bardzo skutecznie. Nawet w rozmowach sposób ich myślenia występuje w rażących kontrastach. Podczas gdy Don Kichot mówi językiem ludzi wykształconych i grandezzą swoich określeń przedstawia znakomitego rycerza, jego giermek Sancho, posługuje się chropowatym, poziomą gwarą ludu hiszpańskiego. Jednak w miarę posuwania się naprzód powieści, poeta coraz wyraźniej poczyna stawać po stronie rycerza, dla którego i czytelnik żywi głębokie współczucie.

Bowiem Don Kichot nie tylko jest rycerzem bladego oblicza, lecz i duszy tęsknotą targanej. Cervantes opowiada nam jego życie z tym obojętnym humorem, który widziwi, albo słuchaczowi pozwala odczuć zarówno cel, jak i skutek opowiadania i który w kontrastach najszczytniejszego z najniższym zamyka wszystkie wielkie idee człowieczeństwa, łącząc wzajemnie z sobą podniosłe z poziomem, szlachetne z nędznym, ideał z rzeczywistością, materiał z formą i wydobywając siłą kontrastu dokładny wyraz. W istotnie podniosły humor jak najsukutekniej płoszy mary starego świata i jednocześnie przygotowuje ludzką do idei i ideałów świata nowego. Cervantes ukazał się nam, jako konieczne zjawisko na linii granicznej dwu poglądów na świat, które gorącym swego uczucia stopił w jedno. Humor jego uwalnia z pęt romantyzmu, który powstawszy ze zmysłowości, oczyszczony przez uczucie, stara się dążyć do ideału, uważając z jasną świadomością ideę za coś istotnego i patrząc na świat z zupełną świeżą, bezpośrednią.

I w tem właśnie kryje się wielkość romanisu, poświęconego Don Kichotowi. Cervantes sam jest poeta i to takim, jakim sobie wyobraża, że poeta być powinien; sztuka wydoskonała u niego naturę. Z ciągłej walki, toczonej przez ducha i jego ideały z prozaiczną rzeczywistością życia, wywiązuje się ów kształt harmonijny, owo pogodzenie się serca ze światem, owa podniosła ludzkość i wolność ducha, która wytwarza ideał nowych czasów, w przeciwiństwie do ideału lat średniowiecznych. Don Kichot nigdy nie żył, a jednak wiecznie żyć będzie; trwać będzie bohaterska jego walka, którą Cervantes odtworzył w arcydziele swem z niezrównaną siłą, z podniosłą samodzielnością, z artystyczną plastyką i poczuciem miary we wszystkich szczegółach, przedewszystkiem zaś z samodzielnym, istotnie z Bożej łaski pochodzącym humorem i trwać będzie dotychczas, dopóki w umysłach ludzi toczyć się będzie bój pomiędzy fantazją a rzeczywistością, pomiędzy ideałem a życiem, dopóki nie ziści się ów sen w pojednaniu, do którego dąży cała poezja ostatniej doby.



Kronika działalności kobiecej.



— Związek literatek i nauczycielek.

Grono kobiet pracujących na niwie literackiej i naukowej, z paniami: Zofią Bielicką, Maryą Rodysową, Zofią Seidlerową, Julią

Terpiłowską, Izabellą Zielińską i Eugenią Żmijewską na czele, powzięło zamiar założenia w Warszawie Stowarzyszenia pod nazwą „Związku literatek i nauczycielek.“ Opracowaną [ustawę, opatrzoną 25-ciu podpisami, złożono do zatwierdzenia Głównemu Naczelnikowi kraju.

Członkami związku będą mogły być tylko kobiety od 17-tu lat wieku, zajmujące się pracą literacką, dziennikarską, wydawniczą, drukarską, księgarską, oraz nauczycielską. Kobiety zamężne będą mogły być przyjmowane za zgodą męża, niezamężne zaś. a nie mające lat 21, za zgodą rodziców lub opiekunów.

— Niemcy. Jednym z zawodów, uprawianych przez kobiety, w którym doszły one do poważniejszych wyników i zyskały ogólne uznanie, jest techniczny rysunek. Przy tej cichej, a względnie lepiej, niż wiele innych, wynagrodzonej pracy, niema już mowy o „wkroczeniu na niewłaściwe pole,“ o „obniżaniu wartości i zapłaty“ i t. p. Przy odpowiednim, rozumie się, uzdolnieniu, lekka ręka kobieca staje się prawdziwą pomocniczą siłą i aczkolwiek bardzo wiele kobiet kończy kursa rysunku technicznego, dobra rysownicza znajduje z łatwością korzystne zajęcie. W biurach technicznych najmniej $\frac{1}{4}$ pracujących składają kobiety. Gdy weźmiemy na uwagę, że związek niemieckich inżynierów, do którego nie należą przecie wszyscy inżynierowie i technicy w Niemczech, liczy z górą 16,000 członków, to możemy wytworzyć sobie pojęcie, jak poważną summę zarobków dostarczają kobietom biura techniczne w państwie niemieckim. Wynagrodzenie rysowniczek wynosi przeciętnie od 100-u do 150-ciu marek miesięcznie.

Z. S.



Kroniczka.



— Przed kilku miesiącami zorganizowało się w mieście naszym „Kolo Opieki nad najuboższymi rodzinami,“ mające na celu wydobycie tych rodzin z nędzy, tak materialnej, jak moralnej, nie przez pomoc w postaci jałmużny, lecz czynnego ratunku, gorącego zainteresowania się potrzebami tak duchowymi, jak fizycznymi, wyszukiwania i dostarczania pracy i narzędzi do pracy. Kierunek moralny polegać ma na oświecaniu, nauczaniu, obronie tych serc znękanych przed złością, goryczą, nienawiścią. Opiekę tę rozciągnąć zamierzono nie tylko nad dorosłymi, ale i nad dziećmi biednymi, zwłaszcza nad dziewczętami, aby je uchronić od przyszłej w życiu zaguby. Tu praca u podstaw jest niezbędna; dzieci — to mali ludzie, to material przyszłości, a będzie ona taka, jaki zasiew pod nią przygotowujemy. To też grono pań z wzmiankowanego „Kola Opieki“ podjęło tę pracę społeczną i kulturalną i zamierza ją pod przewodnictwem ks. rektora J. Gralewskiego założyć ochronę i salę zajęć dla dzieci rodzin, któremi się opiekuje. Ochrona ta ma być urządzona i prowadzona odmiennie od dotychczas istniejących. Na polu ochroniarstwa poczyniono w ostatnich latach znaczne postępy. Zadaniem ochrony będzie wyszczepianie w młode wychowanki zasad prawdziwie religijnych i etycznych, rozwijanie serca i umysłu, zamilowanie pracy, obowiązku, czystości. Przyjmowane będą dzieci od lat 4-ch. Po ukończeniu lat 7-iu oddawane będą do sal zajęć, gdzie wyspecjalizowane nauczycielki prowadzić będą naukę elementarną w godzinach rannych, popołudniu zaś zajęte będą na pracę fachową: introligatorstwo, wyplatanie kapeluszy, szycie, wyplatanie krzesel. Tak wychowane i przygotowane dzieci po ukończeniu lat 11-tu, oddawane będą do specjalnych zakładów, szkół lub fabryk, z których wyjść powinny, jako jednostki pożyteczne, rozwinięte, uczciwe. Do szybszego urzeczywistnienia tego projektu potrzebne są, jak zwykle, fundusze, ale te znaleźć się muszą w społeczeństwie o gorącym sercu i dzielnych dłoniach. Czy trzeba nawoływać do zapisywania się w poczet członków?

Wszelkie ofiary, czy to w pieniądzu, czy w naturze, jak zużyte ubranie, zapasy żywności i t. p., będą przyjmowane z wdzięcznością.

— W dniu 19-ym b. m. rozstrzygnięto konkurs na budowę mogi w Warszawie. Nagrodę pierwszą w summie rubli 300, otrzymał inżynier cywilny p. Henryk Gay, za projekt z godłem „Memento;“ drugą w summie rubli 200, architekt p. Alfons Gravier (godło: „Podkowa“). Wyróżniono także projekt z godłem „Hyxos“ inżyniera cywilnego p. St. Filipowskiego i „Morituri“ budowniczego Wł. Jabłońskiego (syna) nagrodami po rubli 100.

— Na konkursie ogłoszonym w swoim czasie przez zakład artystyczno-rzeźbiarski „Estetyka,“ na projekt rysunku ramek fotograficznych i portretowych, odznaczyły się zaszczytnie dwie kobiety, którym przyznano trzecie nagrody za projekty. Są to panie: Zofia Plewińska i Marya Ochonkowska ze Skrzyszewa. Ogółem nadesłano prac 24. Nadto wyróżniono kilka projektów z godłami: „Dziki wino“ i znak „Omega.“ Sędziami konkursowymi byli pp.: B. Rogóyski, A. Kędziński, A. Porczyński, A. Sapiecha i właściciel zakładu „Estetyka“ p. Zychewicz. Autorem pracy pod godłem „Projekt,“ odznaczonej pierwszą nagrodą jest artysta-rzeźbiarz p. H. Duval, drugą przyznano p. Józefowi Jasińskiemu, za projekt z godłem „?“

— „Warsz. Dniownik“ donosi: „Wyrok warszawskiego sądu wojennego, którym Stefan Okrzeja został skazany na karę śmierci przez powieszenie, wykonano.“

— W Konstantynopolu dokonano zamachu na życie sultana przez rzucenie bomby. Sultana cudem niemal uniknął śmierci, pozostawszy nieco dłużej w meczecie. Znaczna ilość ofiar.

— W Wiernem na Syberii zmarł na nieuleczalną chorobę piersiową, rodak nasz, lekarz, ś. p. Adam Wincenty Buckiewicz. Oprócz zajęć zawodowych oddawał się badaniem klimatologicznym, które utrwalil w dziele swem p. t. „Geohygiena powiatu Ciechanowskiego.“ Pozostawił kilka dzieł z zakresu medycyny i prowadził studia nad chorobami płucnymi. Pomieszczał także w pismach artykuły popularno-przyrodnicze, skreślił także powieść p. t. „Z bytu włóscian.“

— W paryżu zmarł słynny malarz francuzki Jan Jakób Henner, Alzateczyk, w wieku lat 76.



SPROSTOWANIE.

Z powodu korespondencji z Krakowa zamieszczonej w № 27-ym „Bluszczu,“ p. Elżbieta Bleszyńska, sekretarka i vice-prezydentka Stowarzyszenia Matek Chrześcijańskich nadesłała nam pismo następujące z prośbą o sprostowanie omyłek naszej korespondentki. 1) W szeregu odczytów i prelegentów pominięto zajmujący odczyt prof. M. Straszewskiego; 2) Podczas odczytów tych żadne składki na moralnie zaniedbane dzieci zbierane nie były; odnośnie ofiary składa się na ręce organizatorki Towarzystwa, zajmującego się tą sprawą, pani Hupkowej; 3) Stowarzyszenie Matek Chrześcijańskich zbiera drogą prywatną składki przeznaczone dla studentów, powierzonych opiece dyrektora stowarzyszenia O. Bratkowskiego i na koszty projektowanego jubileuszu, w celu uczczenia rocznicy powstania i założenia tej instytucji.

Treść numeru:

Kobieta w samorządzie, przez Leona Reinschmidta. — Z wiejskich wrażeń, przez G. Toporczańkę. — Joan. VIII, 1—12, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Z ostatnich dźwięków (wiersz), przez Bożymira. — Żony mężów pracujących: III. „Pani,“ przez Jadwigę z Z. Strokowa. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Ciocia z puszy, (obrazek z bruku), przez Karolinę Szaniawską (dokończenie). — G. Flaubert. Legenda o świętym Julianie Gościnnym, tłum. M. Pańkiewiczówny (ciąg dalszy). — Miguel de Cervantes de Saavedra (w trzechsetną rocznicę powstania „Don Kichota“ dokończenie). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 7-my baśni dramatycznej w 4-ch aktach Einara Arne Chistiansena z „Piotr Plus,“ w przekładzie K. Łaganowskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 17). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

„GAZETA HANDLOWA“ weszła obecnie w fazę stałych reform. Dotychczas Gazeta powiększyła już format, wzbogaciła treść i rozszerzyła koło współpracowników. Gazeta wychodzi również w niedziele i święta.

W ostatnich czasach jedna sobie szeroką poczytność we wszystkich kołach czytelnicy, jako pismo, które obok swej specjalności handlowo-przemysłowej, pożytecznej teraz dla każdego, zawiera obfitą treść ogólną.

„Gazeta Handlowa“ obejmować będzie nadal główne działy następujące: artykuły wstępne, poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym i polityce; uwagi informacyjne i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; korespondencje z wszystkich ogólnych i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; najbogatszą w naszej prasie kronikę handlu, finansów i przemysłu; obszerną kronikę ogólną i polityczną; telegramy własne i Agencji Petersburskiej; odcinek powieściowy, teatralny i literacki; kronikę akcyjną; fachowe wskazówki społeczno-gospodarcze; wiadomości i instrukcyjne (licytacje, losowania, wykaz spółek, wykaz zaliczeń na kolejach i t. p.); najbogatszy dział giełd, oraz targów zbożowych i towarowych, służący na podstawie do kontraktów.

W zakresie informacji handlowych i przemysłowych, czerpanych wyłącznie ze źródeł bezpośrednich, „Gazeta Handlowa“ jest dowodem, nieodzownym w rękach każdego, kto zawiera jakiegokolwiek obroty i kto pragnie się zapoznać z biegiem całego życia ekonomicznego kraju; w działach ogólnych daje pełny obraz ruchu społecznego, politycznego, literackiego i artystycznego, holdując w ocenie zjawisk życiowych dążnościom szczerze liberalnym.

Naczelnym kierunkiem redakcyjnym „Gazety Handlowej“ spoczywa w rękach St. A. Kempnera.

Gazeta korzysta ze współpracownictwa wszystkich prawnie praktycznych ekonomistów w kraju i ma bezpośrednie stosunki informacyjne z wszystkimi instytucjami ekonomicznymi i handlowymi.

W działach ogólnych biorą udział liczne, pierwszorzędne siły literackie, które odznaczyły się talentem i niepodległością myśli.

Na żądanie posyła się bezpłatnie numery okazowe każdemu, kto poda swój adres.

Klawiol AP. KOWALSKIEGO, APTEKARZA, GRANICZNA 10, USUWA BEZ BÓLU BRODAWKI, SKÓRĘ ZGRUBIAŁĄ NA PODESZWACH I C. PŁYNU 30 i 50 K. PŁASTRA 35 K. ŻĄDAĆ WSZĘDZIE. STRZEDZ SIĘ PREPARATÓW NIESPECJALISTÓW.

ODCISKI

Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej”

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcji po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawą Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej“ pod nazwą:

TOWARZYSTWO AKCYJNE

zakładów i wydawnictw

„GAZETY POLSKIEJ”

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcji, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Polskiej“, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś własnością Jana Gadomskiego, t. j. „Gazety Polskiej“ i „Bibliotekę Dziel Wyborowych“ Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej“.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszym tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcje Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ“, przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcji „GAZETY POLSKIEJ“ w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw „Gazety Polskiej“ w Warszawie

Jan Gadomski.

WYNALEZCY KLAWIOLU NA ODCISKI

TA MARKA I PODPIS NA BŁASZANKI z SITKIEM po 30 i 50 k.

SUDORYN od **POTU**

AP. KOWALSKIEGO APTEKARZA W WARSZAWIE, GRANICZNA 10.

ŚWIETNIE USUWA OPARZENIE POTIWIWON

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE STRZEDZ SIĘ NIESKUTECZNYCH NASŁADOWNICTW W BŁASZKI I TEKSTURZE.

Prasuję bieliznę męską bez szkodliwych dodatków. Warecka № 9 m. 8.

MAGAZYN UBIORÓW DZIECINNYCH

oraz Umundurowania dla Uczniów

Polca

S. PRZEZDZIECKI

5. Mazowiecka 5.



Uczy ładnie pisać

Poprawia brzydki charakter pisma na piękny w 15 lekcjach

Nauczyciel kaligrafii

B. Ferman.

Marszałkowska № 107 m. 16.

Źródłem siły dla wszystkich osłabionych,

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem. Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw. Broszury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski, ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

— otrzymał NOWOŚCI na sezon bieżący —

Angielskie, Francuskie i Krajowe

z czem się poleca względem Sz. Publiczności

oraz Szkoła Kroju i Szycia

Zawiadamia, że zapis uczni rozpoczął się z dniem 1 Maja r. b. Informacje i prospekty na żądanie gratis.

Pensjonat na miejscu.

A. TRZESZCZKOWSKI

w Warszawie, Aleja Jerozolimska № 21, róg Brackiej.

Józef Jankowski.

ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora



Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu“ nie ponoszą kosztów przesyłki.

Pierwszorzędna wykwinna pracownia

SUKIEN I OKRYĆ

oraz Szkoła Kroju i Szycia

„CHIC VARSOVIEN”

ulica Złota № 25

wykonywa

pospiesznie i elegancko podług ostatnich modeli z własnych i powierzonych materiałów. Zapis uczennic codziennie. Przy szkole pensjonat.